

cofa się, niby to wyrównanie frontu, a tu nagle takie niespodziewane uderzenie. Zobaczyliśmy tu sowieckich żołnierzy, ich uzbrojenie, dużo czołgów, mechanizacji. Najbardziej "przyzwoicie" ich kawaleria wyglądała - konie wyglądały tak, jakby nie były karmione od kilku lat. Przecierz ludzie byli przyzwyczajeni do polskiej kawalerii, elegancko ubrani żołnierze w butach, wypielęgnowane konie, piękne. A tutaj zobaczyliśmy tych żołnierzy na takich chuderlawych wykończonych koniach. A przecież do granicy radzieckiej było niecałe 150 km, więc w czasie tego przemarszu nie mogły te konie musiały już poprzednio być zmęczone /zmobilizowane/.

Niedługo tu byli. Władza radziecka niedługo trwała, bo na podstawie umowy między rządem litewskim - rządem ^{smeta} ~~stalinowskim~~ a rządem radzieckim ten rejon, t.zw. okręg wileński, gdzie ja mieszkałem, został oddany Litwie.

Więc zostaliśmy pod władzą litewską. Jeśli chodzi o warunki materialne, o życie na wsi, to ludzie nie odczuwali tam jakiś niedostatków, bo każdy miał swoją ziemię, nie potrzebował kupować, a po przyjsciu litwinów nastąpiło jakby nagle przejście z socjalizmu do kapitalizmu, co można było zauważyć w ciągu jednego dnia.

Wracając do czasu wojny, to sklepy były puste - sklepy były prywatne, więc trochę pochowyli tego towaru. Wprawdzie starzy handlowcy, kupcy niekiedy otwierali sklepy, było coś w sklepach, jakiś resztki, to żołnierze sowieccy to wykupili, ruble przecież wartość miały. Z żywnością jeszcze gorzej było. Przyszli Litwini i w ciągu jednego dnia sklepy zrobiły się pełne. Oni byli przygotowani na to. Jeszcze, gdy u nas byli sowieci, nadawali już audycje radiowe w języku polskim. Taka obfitość żywności - masło w beczkach, szynki, ale ludzie nie mieli

pieniędzy. Gdy Litwini przyszedli, to dali od razu te litewskie pieniądze - lity, z tym, że była wymiana - wymieniali w stosunku chyba 50 centów lita za złoty. Ale były ograniczenia, chyba 100 litów można było tylko wymienić. ↑

Początkowo był system kartkowy, ale nie przypominam sobie, czy na kartki kupowaliśmy za złotówki, czy za lity. Natomiast w naszym ^{miasteczku} ~~miasteczku~~, a mieszkalem jakieś 15 km od granicy litewskiej, zanim dowieźli towar, trwało to jakiś czas.

Jędrychowski, Sztachelski, a nawet Putrament i inni powinni znać te sprawy, bo przecież mieszkali wtedy w Wilnie.

Przede wszystkim oni zaopatrywali Wilno, największe miasto liczące ponad 200 tys. osob /teraz jest już chyba 230 tys./ W tym czasie było tam dość dużo uchodźców, niektórzy mogli mieć rodziny, więc ogółem było do 300 tysięcy ludności, trzeba było jakoś to zaopatrzyć.

W pierwszej kolejności Wilno było zaopatrywane, a mniejsze miasteczka to już nie miały większego znaczenia. Natomiast miejscowi kupcy, sklepikarze, głównie Żydzi, zanim to dowieźli - przecież transport samochodowy nie był jeszcze tak rozwinięty, jak obecnie - dowozili koleją. Zanim z Wilna to dowieźli, a od granicy odległość była 10-12 km - dowozili wozami i już towar się pojawiał, nie było żadnych ograniczeń. Ograniczenia były z naftą, która była na kartki. Z węglem też oczywiście były trudności, kolej litewska pracowała na ... drewnie, a ponieważ wileńszczyzna 9 druszczyzna/ jest bogata w drewno, dowozili go do miasta ze wsi.

Gorzej było to, że Litwini zwolnili wszystkich Polaków, urzędników z urzędów, szczególnie tych, którzy nie byli obywatelami litewskimi, a litewskim obywatelem mógł być ten, który był tam urudzony, względnie - na podstawie umowy z lipca 1920 r., kiedy to Rosja Sowiecka oddała Litwę i Wilno jeszcze w 1920 r. przed inwazją na Warszawę; względnie ci, którzy w lipcu 1920 r. zamieszkiwali na tym terenie, ale to musieli przedstawić dokument. Z tego wynikały paradoksalne sprawy - ojciec był obywatelem litewskim, syn natomiast mógł nie być. Ja miałem w rodzinie takie przypadki: ojciec urodzony był tam jeszcze za carskich czasów i wyjechał na Ural, pracował na kolei, był tam z żoną i tam urodziły się dzieci, rodzina powstała, to dzieci jako urodzeni już na Uralu nie byli obywatelami litewskimi, natomiast ojciec był obywatelem litewskim, a dziecko wogóle były bez obywatelstwa, jako obco-krajowcy. /Zapoznać się z książkami Ossockiego /?/, który dbrze zna te sprawy - o stosunkach polsko-litewskich/. Po us^łaleniu władzy litewskiej zostały otwarte szkoły. Ja zacząłem chodzić do szkoły jeszcze przy sowietach. Poszedłem więc do szkoły litewskiej i mimo tego, że obowiązywał w niej język litewski, jakoś udało mi się skończyć si^odmą klasę. W czerwcu 1949 r. zostaliśmy "wyzwoleni" przez sowietów. Przy władzy radzieckiej już do szkoły nie chodziłem, byłem na wsi, pasłem krowy. Było to bardzo przyjemne zajęcie. W tym czasie zaczęły mieć miejsce różne przesławowania, dyskryminacje Polaków, ^aprzecież wszyscy byli "równi". Wtedy też powstało NKWD, zaczęły się aresztowania. Wprawdzie masowych aresztowań w zasadzie nie było. Była tylko jedna taka masowa wywózka z terenów Litwy, Łotwy i Estonii -

na tydzień przed wybuchem wojny - 14 czerwca. Wywożono wówczas przeważnie funkcjonariuszy - polskiego ruchu /?/, przedstawicieli kierowniczych organizacji społecznych, policjantów i wreszcie - właścicieli ziemskich. Czytałem i dotychczas pamiętam - podawali, że 35 tysięcy zostało deportowanych. Nie uważam, że Niemcy mieliby zaniżać tę liczbę. Teraz podają, że było ich więcej. Miało to miejsce od czerwca 1949 r. - przecież początkowo przez miesiąc to była Litwa Ludowa, był rząd ludowy, do września była jeszcze policja litewska, a 30 sierpnia Litwa została przyjęta do Związku Radzieckiego. *Wstawka ze str. 6*

Władza radziecka trwała do 22 czerwca 1941 r., gdy wybuchła wojna. Niemcy zjawili się na naszej ^{chyba na trzech dniach} ziemi. U nas do kolei było 10 km, do najbliższej szosy było tyle samo, miejsce było ^{spokojne} ciche, nie było walk, sowieci uciekały na zbity łeb, oporu żadnego nie stawiali, tylko troszeczkę litewscy partyzanci ich poturbowali.

Sowieci zrobili z nich wielkie rzesze.
~~Co sowieci zrobili?~~ Nie rozbili wojska litewskiego, tylko wcielili do Armii Czerwonej. Przesłali swoich polityków, zmienili oficerów na wyższym szczeblu. Po wybuchu wojny dużo Litwinów poszło do partyzantki, oni bili tych sowieców, przede wszystkim oficerowie polityczni, ci politycy ucierpieli.

Wśród Litwinów panował i nacjonalizm i szowinizm, który wywodzi się jeszcze z czasów carskich, kiedy to przeciwstawiano Litwinom Polaków, semianria duchowne znajdowały się na terenach Prus Wschodnich. *Niemcy bez znaczenia tu palce*
duchowieństwo było bardzo szowinistyczne
 Front przetoczył się bardzo szybko. W pierwszym dniu

zbombardowano takie obiekty, jak lotniska, nawet te, które dopiero budowano i nie miały jeszcze żadnego sprzętu lotniczego. Władzę objęli Litwini.

Polacy w czasie okupacji na naszym terenie, na terenie t.zw. Generalnego obwołu Litwy, nigdzie nie pracowali w administracji. Nie dopuszczano ich wogóle do pracy w administracji. Zasadniczo Polacy nie chcieli tam pracować, możeby i chcieli, ale Litwini musieli zgodzić się na to i nie dopuszczali ich. Polacy od tego oawowicie stronili. Pracowali oczywiście w różnych zakładach pracy, ale w administracji nie pracowali.

Pojechali delegaci z Sejmi Litewskiego, w lipcu odbyły się wybory do Sejmu. Było trzy głosowania. Ja wtedy miałem tylko 14 lat, więc nie brałem udziału w głosowaniu. Od nas kandydował Jędrychowski Stefan. Pamiętam jego, gdy on przyjeżdżał i zachwalał władzę radziecką, jaka to ona dobra, że ziemię dają za darmo.

Policja była litewska i można powiedzieć, że ten teren, gdzie ja wychowywałem się i dorastałem, był dość spokojny, a na dalszych rubieżach naszych dawnych Kresów było inaczej, zaczęły się tworzyć zony partyzanckie, różnie się tam działo, dokonywano grabieży po prostu.

Jeśli chodzi o naszą partyzantkę, to jejem nie było, były różne podziemne organizacje, prowadzono walki zbrojne. Jeśli gdzieś występowały nasze grupy, to też jako sowiecka partyzantka. Oczywiście to było dla zmylenia, żeby nie było jakiś prześladowań w stosunku do ludności miejscowej. Wszystko to szło na konto Sowietów. Na naszym terenie sowieckiej partyzantki nie było ze względu na to, że oni nie mieli poparcia.

nie chcieli pracować, możeby i chcieli, ale Litwini musieli się zgodzić. Polacy od tego stronili całkowicie, pracowali oczywiście w różnych zakładach pracy, ale w administracji nie pracowali. Policja była litewska i można powiedzieć, że ten teren, gdzie ja wychowywałem się i dorastałem, był dość spokojny, a na dalszych rubieżach naszych Kresów, sowieckich, zaczęły się tworzyć sowieckie zony partyzanckie, było inaczej, różnie się tam działo, dokonywano grabieży po prostu.

Jeśli chodzi o naszą partyzantkę, to jej nie było różne, ~~to~~ (były) podziemne organizacje, walki prowadzono ~~aktywne~~ zbrojne. Jeśli występowały nasze grupy gdzieś, to też jako sowiecka partyzantka. Oczywiście to było dla zmylenia, żeby nie było jakiś prześladowań w stosunku do ludności miejscowej. Wszystko to szło na kontrapunkt Sowieciom. Na naszym terenie sowieckiej partyzantki nie było ze względu na to, że oni nie mieli poparcia. Gnieździł się gdzieś w lasach, a ich walka polegała wyłącznie na paraliżowaniu transportu kolejowego, tylko to. W tym oni byli wyspecjalizowani i robili to dobrze. Innych akcji oni nie podejmowali. Ale jeszcze jedne akcje przeprowadzali - na wojskowe obiekty. A jakie to obiekty były na wsi - szkoły, mosty, młyny. Więc na naszym terenie jak powiedziałem poprzednie - nie było sowieckiej partyzantki, prawda patrole niekiedy dochodziły; natomiast dalej na Wschód - palili np. stogi z sianem, zbożem, jednym słowem niszczyli mienie okupanta. Ale do Moskwy podawano, że tyle i tyle obiektów wojskowych zniszczono, podawało to natychmiast Biuro Informacyjne, Agencja TASS na cały świat że tak tam działała ta partyzantka.

W czasie okupacji polskich szkół u nas nie było - na ~~tym~~ terenie, gdzie była administracja litewska polskich szkół nie było, początkowo były szkoły litewskie w miastach, przede wszystkim średnie, które zlikwidowano ok. 1943 r. /podstawowe były cały czas/ - nawet litewskie.

-6a-

nie dotarł
pasmo
o jakieś
szkole
chadzi

Początek pracy w konspiracji

ps. Konopacki

przez dowódcę miejscowej placówki - plut.podchorąż. Bolesława Gulbinowicza
W 1943 r. we wrześniu zostałem zaprzysiężony, ~~byłam tam w miejscowej placówce~~

Zajmowaliśmy się tam szkoleniem, mieliśmy tam parę starych karabinów, poza tym zbieraniem informacji, zbieraniem broni i tp. i w grudniu tego samego 1943 r. zostałem aresztowany przez Niemców - jako podejrzany. Zrobili obławę i pozabierali ~~z~~ niektórych. Ja siedziałem ok. 3-ch tygodni, raz tylko byłem wezwany na przesłuchanie. Nie ~~właściwie~~ zostałem uwolniony z więzienia, choć starania w tym kierunku były, a zostałem wywieziony do Wilna i w niewielkiej odległości od Wilna, udało się zbiec we dwójkę - wyskoczyliśmy przez okno. Wróciłem do domu, jakiś czas ukrywałem się. Później, już w 1944 r. wstąpiłem do oddziału, do 5-j brygady dowodzonej przez por. Mściśława, zachorowałem tam i musiałem wrócić do domu. Było to wiosną-latem 1944 r. Nadal byłem w tejże samej placówce. W międzyczasie zbliżał się front, dowódca okręgu wydał rozkaz o koncentracji oddziałów w brygady. My natomiast nie zdążyliśmy dojść na koncentrację i spotkaliśmy tych, którzy po zajęciu Wilna przez Sowietów, zostali rozbrojeni i wracali spod Wilna. Powiedzieliśmy im: ^{Kim} gdzie idziecie, przecież jesteście okrażeni - i wróciliśmy z powrotem.

Armia Krajowa ucierpiała wtedy b. dużo, dużo było aresztowanych i internowanych, co zresztą zostało odtworzone w szybkim czasie. Nawet powstały nowe oddziały. Najbardziej cierpiała od Sowietów konspiracja, więcej, niż ci, co byli w oddziałach, dlatego, że niektórzy zakonspirowani ujawnili się i potem nastąpiła tragedia, nastąpiły aresztowania. W czasie okupacji niemieckiej działalność AK na naszym terenie była jawna ze względu na to, że Niemców nigdzie nie było, teren był całkowicie opanowany przez AK. W 1944r. Niemcy siedzieli zabunkrowani w ^{istniejące} większych ośrodkach, miastach, mostów strzegli, kolei, strategicznych punktów, a teren cały był wolny. Więc praktycznie konspiracji nie było.

działali jawnie.

Po przyjsciu Sowietów organizacja została w pewnym sensie odtworzona, może nie całkowicie jak przedtem, bo przecież cały sztab został interwowny. Niektórzy oczywiście zostali, działali pod pseudonimami, był wtedy dowódcą okręgu - Ungrow np. - pseudonimu nie pamiętam, ~~wygoła~~ nie wiedziałem nawet jak Wilk się nazywał, wiedziałem wtedy, że dowódcą okręgu jest generał Wilk, a jak on się nazywał, to nikt nie wiedział - to że nazywał się Krzyżanowski, dowiedziałem się dopiero jak przyjechałem do Polski. ^{do polski do 1945} I tak, po przyjsciu Sowietów, było to w lipcu, końcowe walki, gdy zostało zdobyte Wilno, słończyły się 13 lipca.

W sierpniu już zaczęły się aresztowania. Pierwsze aresztowania zaczęły się na terenie ^{republiki} ~~Litwy~~ Białoruskiej, ponieważ..... Więc z tego terenu zaczęli oni wchodzić tutaj. Ma się rozumieć zaraz ^{zorganizowali} ~~zaczęli~~ oni tutaj sieć konfidentów, bo Niemcy tylu konfidentów nie mieli za Sowietów, być może mały na to wpływ trochę sprawy językowe. Zresztą z Niemcami takiej komitywy nie było, a tutaj znaleźli się tacy. Jak mówiłem, pierwsze aresztowania zaczęły się w sierpniu. Były wpadki, niektórych brali pod ..., niektórzy załamali się, byli tacy, co poszli na współpracę. Próbowano - nie pamiętam było to w końcu sierpnia czy na początku września - ^{udało się} ~~próbowano~~ aresztowanych w miejscowości Tymiliszki /czy Miliszki/ wyzwolić od Sowietów, ale tylko jeden raz. Przygotowania były robione i dalej, ale nie wiem, dlaczego nie dochodziło to do skutku. Nasze oddziały spod Wilna /te resztki/ i z miejscowej konspiracji akcji zaczepnych nie podejmowali. Nie można przecież nazwać akcją zaczepną ~~w~~swobodzenie więźniów. Był taki przypadek, gdy grupka naszych chłopców okrążona została przez Sowietów - oni tam w innej sprawie przyjechali, mieli aresztować tam kogoś, i akurat w tym czasie zauważyli, że przyszła tam grupa i zakwaterowało się. Nic nie wiedzieli o tym, że są okrążeni. Tam czterech zostało zabitych, dwóch rannych, było ich tam ok. 10 osób, tak że tylko czterech uszło z życiem, to znaczy z naszych, ze strony sowieckiej jeden został zabity. No i dalej

tak to potoczyło się, zaczęły się aresztowania, właśnie m.in. jeden z naszych - pseudonim "Ka^{Korszun} szyn"/ został podstępem aresztowany. Jak? Wysłany był do Białoruskiej Resp. aby wykonać jakieś zadanie dot. łączn. Otóż do tych że Tymiliszek, o których wspominałem, była przysłana jakaś operacyjna grupa NKWD, którzy przebierali się w cywilne ubranie, orzełki sobie naczepiali. Oni znali język polski, byli specjalnie szkoleni, być może z sowieckiej partyzabtki byli wybierani, gdzie było dużo białorusinów. I taka grupa w podstępny sposób aresztowywała ludzi, chodzili niby jako polscy partyzanci, a tu zaraz rozmówki, to i owo i właśnie tego "Korszuna" oni tam spotkali i od razu: komsomolec! rozstrzelać!. Więc ten chłopak sypnął się: nie jestem komsomolec, jestem taki i taki. Zabrali go, nie wiem niestety, jak tam dalej toczyła się ta sprawa, w każdym razie poszedł na współpracę. Pracował w magazynie broni, wydawał broń, m.in. i mnie, podobno dalsze jego losy były trudne, podobno został rozstrzelany, jak twierdzą niektórzy. Ale niedawno otrzymałem taką wiadomość - niepewną, nieformalną - że żyje. Więc jak to mogło być, może specjalnie on w końcu uciekł od nich, puścił zmyłkową wiadomość, że jego rozstrzelali, a sam wyjechał do Polski. Jego nazwiska nie znałem. W czasie śledstwa mnie pytali o takim i takim Witkowskim. ^{SKASOWAĆ}

W listopaszie 1944 r. mnie aresztowano. Ja się nie ukrywałem, bo miałem dokumenty, miałem podrobiony rocznik 1928, tak że nie potrzebowałem się ukrywać. Nikt mnie nie poszukiwał specjalnie, bo nie byłem żadną znakomitością specjalną, miałem zresztą dopiero 18 lat. Więc mnie aresztowali, przyszli nocą. Miałem tej nocy zamiar wyjść z domu, ale akurat przyjechała z Wilna kuzynka z koleżanką i tak sobie rozmawialiśmy. W nocy słyszałem stukanie do drzwi, Ojciec wstał i zapytał: kto? Odpowiedziano w polskim języku: wojskowy, więc ja myślałem, że może ktoś ze swoich ktoś przyszedł, ale na wszelki wypadek ~~wykryłem~~ ~~broni~~ ~~w~~ ~~oknie~~ ~~x~~ ~~x~~ ~~karabinie~~ ~~x~~ ~~x~~ ~~bagnetem~~ uchyliłem okno, widzę stoi ze sztykiem pod oknem, z bagnetem na karabinie sowiecki żołnierz, więc sprawa jasna, że jeśli pod oknem stoi, to dom jest okrążony, i tak było.

Czekałem, co będzie dalej, tymczasem Ojciec zapalił światło, lampę naftową, otworzył drzwi, wszedł oficer, podszedł do mnie - od razu: podnimaj się, więc wstałem, a za nim szedł oficer, podszedł do mnie i zażądał dokumenty, ^{dostałem} wyjąłem dokumenty razem z portfelem, chciałem wyjąć z portfela, ale on zabrał wszystko razem, usiadł przy stole, a mnie położył: łóżyć się, oddechajcie, bardzo grzecznie, spokojnie. No więc położyłem się i zaraz ich doszło może z pięciu wojskowych - żołnierzy NKWD. Od razu poszli po wszystkich pokojach, szczegółowej rewizji wprawdzie nie robili, tylko obkoczyli wszędzie, a ten usiadł przy stole, dostał moje dokumenty, portfel zostawił, a dokumenty położył sobie do mapnika. Wówczas zorientowałem się od razu, że jestem w ich rękach, jestem aresztowany. Ale leżę sobie, oni skończyli rewizję, oficer wstał i mówi do mnie: "wstańcie, nie znamy drogi, a tu noc - musicie nam drogę pokazać". Oni bardzo rzadko sresztowywali normalnie, zawsze podstępem. Wzywali kogoś załatwić jakąś sprawę, albo kogoś pokazać drogę. Ja wiedziałem o tym, więc wstałem. Ojciec powiada, że może on poprowadzi, bo ja na drugi dzień mam ~~gdzieś~~ ^{do miasteczka} jechać i coś załatwić. A oni mówią? nie, gdzie ty stary będziesz chodził, my zaraz pójdziemy". Wstałem więc, ubrałem się, wyszedłem z nimi, patrzę - a oni mają przewodnika, ^{z sąsiedniego miasteczka} takiego pana ~~starszego~~ ^{mi}, kazali ~~mną~~ prowadzić. Dwóch już mieli aresztowanych. Jeden to został zwolniony, a drugi - niejaki Józef Kuźnicki siedział w więzieniu. ^{Prze} Doszliśmy jakieś 100 m, oficer zatrzymał ten cały oddziałek - było ich tam ~~ok.~~ 10 osób, mieli głównie ręczne karabiny maszynowe. Zatrzymał więc grupę, podszedł do mnie i mówi: jesteście aresztowani, krok wlewo, krok w prawo - rozkazuję użyć broni bez uprzedzenia. Pierwszy raz usłyszałem te słowa, które później tysiące razy słyszane, przy każdym eskortowaniu powtarzane były przez dowódcę ^{Wówczas} eskorty. Wtedy okrążyli mną w dwóch, czy w trzech - nie pamiętam - z karabinami w pogotowiu. Obok była wieś. Doszliśmy do sąsiedniego zaścianku, chyba jeden domek przeskoczyli, chyba nie mieli tam nikogo specjalnie do aresztowania, i poszliśmy jeszcze do ~~ju~~ jednego

takiego pana Gdańca, jego nie zastali, tam szczegółową rewizję² robili. Mnie wtedy jeszcze nic nie robili. Więc zrobili tam rewizję, poszliśmy dalej. Wtedy już rozwidniło się. Zatrzymaliśmy się jeszcze w jednym zaścianku. Zostało ich tam kilkoro, reszta gdzieś poszła i przyprowadzili gajowego, nazywał się Poletko. On w zasadzie nie był podejrzany wcale. Po prostu oni kogo spotkali, to brali - tak to robili oni, zgoniali. Tam był ich garnizon, oni tam stacjonowali, ~~Przyszkaliśmy~~ ~~tych Tymiliszek~~ a tam rozpatrywali, może gdzieś tam jest u nich notowany, a jeżeli nie - to odsyłali do wojska, a jeżeli był notowany u nich, to wtedy więzienie i td. Więc przyszkaliśmy do tych Tymiliszek - oprócz tej grupy było ich więcej, bo to była taka akcja większa, kilka grup było w terenie - jeszcze kogoś przyprowadzili, ale w zasadzie tych podejrzanych, którzy znajdowali się w ich ewidencji, to tylko ja byłem i ten właśnie Józef Kuźnicki. Dni w listopadzie były krótkie, zanim dobrnęliśmy do Tymiliszek /ok. 10 km/. Aresztowało mnie NKGB. Noc przespaliśmy w areszcie, a w dzień wszystkich aresztowanych zaczęli wzywać. Doprowadzili mnie pod eskortą do sąsiedniego budynku, gdzie siedzieli oficerowie. Zapytali o dane personalne i takie podstawowe dane. Oficer odwraca mapkę sztabową, a na drugiej stronie szereg nazwisk. Niemogłem odczytać oczywiście wszystkich nazwisk, bo mi nie pokazał, ale wskazał na moje nazwisko, moje nazwisko było ostatnie, oprócz tego były podane imię i wiek, wiek trafny był. Drugi z oficerów wziął moje dokumenty, rozerwał. W tym czasie jeszcze radzieckich dokumentów nie było, był tam ausweis niemiecki, a później, przy sowietach, ojciec mi wyrobił - zaświadczenie wojskowego komendanta z pobliskiego miasteczka Ambroza /czy tak ?/, że taki i taki jest mieszkańcem miejscowym, nazwisko, imię, wiek i pieczętka wojennego komendanta. Wziął to rozerwał i wrzucił do kąta ~~nie wiem, czy tam był jakieś kosz na śmiecie~~. Wyprowadzono mnie. Wieczorem - ma się rozumieć - wzięto mnie na badania, na przesłuchanie. Niesamowita sprawa. Trzech oficerów,

Niby to dokument dobry.

i mój: 207 + 100, dokumenty

podpółkownik - był to zastępca naczelnika oddziału śledczego NKGB z Wołodecznej /z Niewielkiej/, naczelnik rejonowego oddziału NKGB - kapitan Łopatiow /?/, nazwisko zapamiętałem, starszy lejtnant Michajłow pełnomocnik

i dowódca miejscowej jednostki wojsk NKWD starszy lejtnant Siergieew. Więc na początku było ich czterech, a potem Michajłow wyszedł do innego pokoju i zostało ich trzech. Zaczęło się badanie. Na początku ~~odwaga~~ odbywało się to w dość grzeczny sposób, namawiali mnie do współpracy z nimi i wydania pewnej liczby osób. Ja nie miałem nikogo do wydawania. Zapytali, czy znam ^{Wit} ~~Kwik~~tkowskiego, właśnie tego, który mnie wydał. Pokazali mnie nawet go - leżał w ^{w jakiejś zielonej bluzie} innym pokoju. Nie jestem do końca pewien, czy to był on. Poprzednio nie znałem tego nazwiska, dopiero tam dowiedziałem się, że to jest właśnie Witkowski. Badanie trwało aż do rana. Wreszcie oni we trzech ustawili się w pokoju w trójkąt, mnie wzięto w środek i zaczęto bić. Biła cała trójka, rzucając mnie od jednego do drugiego. Bili rękoma, ale ten podpółkownik - zastępca oddziału śledczego NKGB tak się rozochocił, że ~~nawet włożył rękawiczki~~ aż rękawice założył, bo przy biciu można przecież ręce pokaleczyć. Poza tym od rękawicy na ciele żadnych znaków nie pozostało. Ten naczelnik NKWD próbował też deptać mi po palcach, a ponieważ buty miałem takie wiejskie, toporne, to właściwie specjalnie nie odczuwałem tego. W końcu rzucili mnie do celi. z powrotem, a rano zabrali nas do wymarszu, do ^{powiatowego miasteczka Szmiry?} ~~rejonu~~ w odległości ok. 40 km.

Gdy rano wstałem po tym badaniu, to nie mogłem poruszać się. Pomyślałem jak ja teraz pójdę, mnie chyba dobiją po drodze. Tych, którzy nie mogli iść, oni popychali kolbami. Ale po wyjściu zaraz podbiegła do mnie siostra, podała jakąś paczkę z artykułami żywnościowymi. No i wyszliśmy. Pierwsze pięć lub trochę więcej kilometrów bardzo kiepsko się czułem, myślałem, że nie dojdę, ale później rozruszałem się jakoś /przecież miałem zaledwie 18 lat/ i doszliśmy do tego (Szmiry). Tam spotkano nas

gościnnie. Należy jeszcze wspomnieć, że enkawudziści, przeważnie ~~szeregowi~~ ci szeregowi wywodzili się z sowieckiej partyzantki. Naczelnicy byli z głębi Rosji, ci etatowi enkawudziści, starzy czekiści nawet niektórzy, natomiast ten młodszy personel i szeregowi pracownicy NKWD - te wywodzili się z partyzantki radzieckiej. Tam stacjonowali też brygady markowe /czy narkowe ?/. Stosunki były z naszą partyzantką i z AK wręcz wrogie. Gdy aresztowano kogoś z AK to pierwsze spotkanie było z tymi szeregowymi, no to nawet włosy wyrrywali.

Zamknęli mnie tam do aresztu, przed tym bili butami i ciągnęli za włosy. Ja wyczułem, że przecież to nie są oficerowie. Wprawdzie jeden taki zastępca naczelnika milicji - Żyd, ^{już w stopniu oficera} też zaczął mnie bić, ale ja oddałem. W każdym razie było takie bicie, szturchanie, popychanie, ale nie widziałem, żeby kogoś dotknął poważniej. Zaraz zaczęły się badania /przesłuchania/ z biciem oczywiście, ale ja brałem ich na wytrzymałość, nie dawałem żadnego odgłosu, wtedy zaczęli mnie jeszcze bardziej bić, czekali aż zacznę krzyczeć.

Metody bicia były prymitywne. Nawet w czasie bicia człowiek specjalnie nie odczuwał bólu, może nerwy były zbyt napięte, ból przychodził dopiero potem. Natomiast w więzynie to były już inne metody, np. spać nie dawali, wsadzali do karceru, tam były różne metody, bardzo nękające.

Siedziałem tam dość długo - od listopada do 10 stycznia ^{w tym Świrze}

1945 r. O mało co nie udało się ^{nam} ucieczka. Siedzieliśmy w takiej piwnicy ^{jednego z tych małych specjalnych budynków} specjalnego budynku więziennego /był to poprzednio budynek, w którym w czasie okupacji mieściła się policja niemiecka, ~~potem NKWD~~ stacjonowała niemiecka żandarmeria, policja litewska też była na tym terenie, potem

o powierzchni ok. 30 m²
 NKWD/. Więc siedzieliśmy w tej piwnicy, nie pamiętam nawet,
 czy była tam posadzka, czy po prostu ziemia, prycza tam
 reszta leżała na podłodze Wśród
 jakaś była, światła nie było żadnego. ~~Strzegł~~ nas jeden
 stolarz
 stróż, też z partyzantki z AK. Jego tam brali do robót,
 stolarskich lub jakiś innych gospodarczych. Więc wymycałiśmy,
 że od strony ulicy w ~~tych budynkach~~ tej piwnicy było okno, ~~w których były~~
~~wstawiane pręty~~ które miało kratę, ~~pręty~~ a jej pręty wcho-
 dziły w podstawę okna i były wyjmowane. Ucieczkę planowaliśmy
 31 grudnia w sylwestrową noc ze względu na to, że w te
 święta enkawudziści urządzali libację. Ale nie udało się ta
 sprawa niestety. ~~z względu na to~~ Nie uciekliśmy. Jak to się stało? Ma się
 rozumieć ktoś musiał wyspnać. Były podejrzenia w stosunku
 do jednego, też AK-owca, nie będę mówił nazwiska, bo to nie
 jest pewne. Jego wyzwali na przesłuchanie i zaraz po powrocie
 wpadli ~~na~~ enkawudziści, jeden z nich wskoczył na pryczę,
 zarpnął za ten pręt i urwał go. Być może zakablował, a może
 oni zauważyli jakieś rysy, bo tam badana była ta ściana, jej
 grubość. Więc możliwe, że przy manipulacji z tymi prętami
 lub badaniu grubości ściany powstały jakieś rysy, z zewnątrz-
 nej strony, bo to okno wychodziło bezpośrednio na ulicę.
 Potem enkawudziści, a była ich tam cała gromada, wyszli z
 celi i kazali ^{nam też} wychodzić z celi. W tej piwnicy wiodły schodki,
 jak wychodzili, to każdemu dostało się kolbą. Dobrze było,
 gdy ktoś został uderzony kolbą i nie przewrócił się, a
 gorzej było, jeśli przewrócił się, to wtedy dostawał jeszcze
 więcej. Ja dostałem tylko raz i to gdzieś w ramiono. Wyrzu-
 cili nas na podwórze i kazali się położyć. Był to już Nowy
 Rok, ziemia była zamarznięta, śniegu było bardzo mało. Poło-
 żyli nas tam wszystkich, następnie zrobili wszystkim rewizję
 i przegonili do budynku znajdującego się wewnątrz podwórza,

zrobionych z pokoi mieszkalnych tam były jeszcze 3 cele. Siedzieliśmy tam w tych celach. Oczywiście były przeprowadzane przesłuchania, intensywne z wszystkimi "przyjemnościami" i biciem rzecz jasna. Tam w Świrze takich nie było, którzyby nie dostali, jedni więcej, drudzy mniej. Chyba że któryś współpracował. Poza tym nie wszystkie sprawy znajdowały się w NKGB, sprawy niektórych prowadziło NKWD, tam też trochę lżej ich traktowano. NKGB - to Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego, który na początku 1945 r. został przemianowany na Ministerstwo Bezpieczeństwa, i wszystkie ważniejsze sprawy. Zależało więc kto przez kogo został aresztowany. Było tam swojego rodzaju współzawodnictwo. Zasadniczo nie było to więzienie, lecz areszt tymczasowy, t.zw. KPZ - kamiera przedwaritelno ^{aresztu} zakluczenia /cela ~~izakazjix~~ tymczasowego/. Kobiety też miały niedużą taką celę. Były to przeważnie łączniczki.

Bardziej surowo ^{przesłuchiwana, bita, szykanowana} ~~badana~~ była kadra dowódców, a ponieważ łączniczki - bardzo podrzędna w sumie funkcja - wszystko wiedziały, to im też dostawało się. Pamiętam stamtąd np. Barzdo Irenę, która teraz mieszka w Olsztynie, poza tym przypominam Konariusz Weronikę /?/, która została aresztowana przez brata, który był w ^{o/} ~~kn~~trwywiadzie i poszukiwano go. Innych naz wisk nie pamiętam, bo był to areszt tymczasowy, różnych ludzi przyprwadzano, odsyłano do więzień do i Wilejki. Jeszcze była jedna dziewczyna, nazwiska nie pamiętam, która podawała się za aktorkę, ^{dlc nas} ~~nie~~ w okresie okupacji celi. Do jej aresztu doszło tak. Ona przebywała u rodziny ~~na wsi. Wtedy było dużo przebranych enkawudzistów.~~ czy u znajomych na wsi. Przyszła tam grupa enkawudzistów

Było tam dwa więzienia. Póprzednio wdzali tam komunistów. Wilejka znajdowała się blisko granicy sowieckiej ok. 30 km. Jedne było t.zw. duże więzienie, chociaż ono duże nie było, wszystkiego 35 cel. Było to stare więzienie, budowane jeszcze za czasów carskich - Mikołaja I lub Aleksandra II. Było to więzienie etapowe. Drugie więzienie było nowe^Z budowane w okresie międzywojennym przez Polaków. To było małe więzienie tam było wszystkiego 10 cel.

W ^k okresie niemieckiej okupacji duże więzienie nie było czynne, a gdy w 1941 r. przechodził tu front, zostało ono i Niemcy nie odbudowywali go. Tam też działy się straszne rzeczy, spalono, więźniowie z niego zostali ewakuowani, kiedy Niemcy już nadchodzili i enkawudziści gnali ich do Borysowa, a po drodze tych słabszych wszystkich wybili, ~~tam nawet~~ podobno. Skąd ja to wiem? Siedziałem z jednym człowiekiem o nazwisku Piotr Kuniszczka /?/, podobno już nie żyje, był to starszy człowiek, przedwojenny komunist. Gdy Sowietci wkroczyli, to wszystkich starych komunistów zamykano ~~zamykano~~ Tych młodszych piesków, jak Jędrychowski, Sztachelski, czy Putrament, którzy w zasadzie nie byli w partii komunistycznej, to tylko byli zwolennicy tego reżimu, tej ideologii komunistycznej, więc oni ^{Kuniszczka} wypłynęli, a starych komunistów aresztowano. I on ~~tam~~

siedział w tym więzieniu. Dużo opowiadał wogóle o więzieniu - on siedział w Rawie, czy we Wronkach za sprawę komunistycznego nictwie w okresie międzywojennym, wypytywaliśmy też czym różniły się te więzienia od sowieckich. Przede wszystkim byli to inni więźniowie, ^{polscy} cele były nie zamknięte, cztery godziny spaceru lub przebywania na wolnym powietrzu.

oddziały były oddzielne dla politycznych. To było 4. zw. pierwsza kategoria, czy pierwsza grupa ludzi.

Dla politycznych oddziały były osobne. To była t.zw. pierwsza kategoria, czy pierwsza grupa ludzi więźniów. W okresie międzywojennym więźniowie dzielili się na trzy grupy: pierwsza grupy - polityczni, druga - pospolite przestępstwa, trzecia - inni przestępcy, np. zbrodniarze, mordercy. Więc polityczni mieli najlepsze warunki: cele nie były zamknięte, cztery godziny spaceru lub przebywania na wolnym powietrzu. Już nie było mowy o jakiś tam sprawach żywieniowych. Jak wiadomo, istniała m t.zw. organizacja NOP - Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom, więc paczek mieli bez ograniczenia. Poza tym mieli szkoły czy kursy, prowadzono w więzieniu wykłady - uczono ich tam marksizmu.

Jaki był dalszy los tego Kuniszczę? Po więzieniu w Wilejce, gdzie został mimo wszystko żywy, dostał się na zaplecze frontu na teren sowiecki. Po umowie Sikorskiego ze Związkiem Radzieckim, na podstawie amnestii został zwolniony z obozu. Nie wiem dokładnie, czy on był Polak, czy Białorusin. Nie trafił do Armii Andersa, a został zmobilizowany do Armii Radzieckiej, w której wzięli go do specjalnych oddziałów ^a desantowych, został przeszkolony. Szkolenie tam wyglądało inaczej, niż u nas, gdzie cichociemni^h miesiącami szkolili. Jeden skok próbny i następnie wyrzucili go na teren ^{w okolicach Naroczy} nawiązać Zachodniej Białorusi, gdzie miał on ~~organizować~~ łączność z sowiecką partyzantką, organizować podziemie i oddziały partyzanckie, sowieckie na tych terenach. Ale on tego wszystkiego miał już w swoim życiu coś: więzienia w okresie Polski międzywojennej, później sowieckie, potem

te wszystkie przejście związane z przemarszem z Wilejki do Borysowa, widział te morderstwa, to wszystko. Po wylądowaniu, gdy wyrzucono go z samolotu, on zwinął spadochron i nie przystąpił do żadnej działalności - mówiliśmy, że sprzedał go dziewczynom na sukienki - i w czasie okupacji niemieckiej gdzieś przebywał, ale nie współdziałał z Niemcami. W każdym razie przetrwał całą okupację do 1944 r. i po przyjsciu sowietów jego znaleźli i aresztowali. Właściwie on nikiem innym nie był, jak dezertorem, a w 1944 r. po zakończeniu wojny dla dezertersów ogłosili amnestię, był specjalny dekret, w związku z tym on powinien być zwolniony. Natomiast on został skazany przez t.zw. Osoboje Sowieszczenie; t.j. specjalne kolegium NKWD, które wydawało w Moskwie zaocznie wyroki, i dostał 8 lat. Napewno teraz on już nie żyje, bo to był starszy człowiek. Na podstawie jego relacji wiadomo, że bardzo mało więźniów dostało się z Wilejki do Borysowa. Ludzie byli osłabieni, a trzeba było przejść nie mniej, niż 70 km, tych słabszych dobijali po prostu, jeśli nie kulami, to bagnetami. To są jego relacje, jeśli on kłamał, to oznacza, że i ja kłamię, ale najprawdopodobnie - nie, bo to się powtarza i w innych relacjach, nawet w niektórych publikacjach, chyba nawet w "Ładzie" i w "Solidarności" było coś o tym.

Stacjonując do formacji

Wyjechaliśmy więc do Wilejki. Jak pamiętam, przybyliśmy tam wieczorem. Umiejscowiono nas w obwodowym zarządzie NKWD, który mieścił się w dawnych koszarach Korpusu Ochrony Pogranicza w Wilejce; wpędzono nas tam do piwnicy, w którym był kiedyś jakiś magazyn, bo tam były niby prycze, ale

właściwie to nie były prycze, a po prostu półki. Tam przenocowaliśmy. W następnym dniu zabrano nas stamtąd i zaprowadzono do obwodowego zarządu NKGB, który znajdował się w tym czasie w Wilejce. Obwodowe zarządy NKWD i NKGB były w Wilejce, gdzie było także więzienie, prawda bardzo zniszczone. Sama Wilejka też była bardzo zniszczona, która zabudowę miała przeważnie drewnianą, i w czasie frontu to wszystko spłonęło. Ludzie mieszkali przeważnie w ziemiankach, a więźniowie - w więzieniu.

Jak już powiedziałem, zaprowadzono nas do zarządu NKGB, który w tym czasie znajdował się w szkole. Szkoła nie była potrzebna, potrzebne było NKGB, musieli aresztowywać ludzi, wrogów narodu, różnych takich, którzy byli niewygodni dla nich, musieli prowadzić śledztwo i mieć do tego celu odpowiednie lokale i do tego była przeznaczona szkoła, zresztą tam chyba była tylko jedna szkoła, ale i ta nie była czynna. Natomiast budynek, w którym później mieściło się NKGB, przy więzieniu, wówczas był jeszcze w remoncie, bo Niemcy wycofując się spalili go. W tymże budynku w okresie międzywojennym był sąd, prokuratura, różne instytucje, związane z więziennictwem. W czasie niemieckiej okupacji tam było gestapo. Gdy przyszli wyzwolicieli, to w pierwszym rządzie zaczęli ten budynek remontować. Więzienie w tym czasie było już odremontowane w styczniu 1945 r.

Zaprowadzono więc nas do szkoły, sprawdzono personalia i dalej do więzienia małego, bo to było tak zwane wewnętrzne więzienie śledcze NKGB, bardzo ciężkie więzienie. Z tego więzienia wychodziło do dużego więzienia do NKWD mniej więcej tyle osób, co na

wolność, bo tam straszny rygor był, zaraz dojdziemy do tego. Przeprowadzono nas do więzienia, jeszcze raz personalia sprawdzili,, wyprowadzili na korytarz i kazali rozebrać się do naga. Tego jeszcze nie było w poprzednich aresztach, a ci enkawudziści, ~~tam~~ ~~stoją~~ którzy mieli przeprowadzać rewiję, stoją tam ubrani w fartuchy i z nożami. Pomyślałem: co z nami tu będą robić, po co im potrzebne są te noże. Okazało się, że do obcinania guzików. Wstytkie guziki przy ubraniach, haczyki przy spodniach musiały być odcięte. Więc zostaliśmy rozebrani do naga, zaglądali nam do ust, kazali robić przysiady, przeprowadzano szczególnie rewizję. Wprowadzono nas do celi. Cella była pojedyncza, a nas było ponad 10 osób, chyba 12, dość ciasno było. Ale w sąsiedniej ^{celi} to już 18 było i to skazanych na karę śmierci.

Jak tylko wprowadzili nas do celi, to my od razu ~~xxxprze~~ położyliśmy się na prycze. Nagle ktoś stuka. Stukał dyżurny strażnik. Krzyczy: wstawać! Więc jaki tam był rygor - spać, leżeć od 6 rano do 10 wieczorem nie było wolno. Można było leżeć na pryczy tylko od 10 wieczorem do 6 rano. Wtedy natomiast nie wolno było siedzieć, tylko leżeć. Spacerować po celi mógł tylko jeden, więcej nie było miejsca. Rozmawiać mogliśmy tylko półgłosem, a ~~nie~~ ~~jeżeli~~ ~~była~~ ~~tam~~ ~~większa~~ ~~ilość~~ ~~osób~~, to tylko szeptem. Siedzieć musiał człowiek w normalnej pozycji siedzącej, nie opierając się np. na kolanach. Z czym to było związane? W nocy wzywali na przesłuchanie - nie spał, w dzień nie wolno było i w ten sposób po kilku dniach z człowieka robiła się szmata. Wracając do strażnika

Więc ten strażnik kazał nam podnieść i powiedział, że tutaj leżeć nie wolno.

W tej beli nie byliśmy długo, zaraz zaprowadzili nas do łaźni, były tam specjalne urządzenia do dezynfekcji, ^{/t.zw. prażarki/} oczyściliśmy się od tego robactwa /w więzieniach sowieckich nie było za dużo robactwa/.

Jak mówiłem, więzienie to budowane było w okresie międzywojennym. Ściany tam były cinkie, ~~męższxxx~~ o grubości może na cegłę, a może na pół cegły, piece były kafłowe, a paleńska od strony korytarza, ^{wydłubane} około pieców były otworki /widocznie piece były budowane później/, przez które można było porozumiewać się. Gdy my weszliśmy, to zaraz ci, co już siedzieli w celach, usłyszeli, że pojawili się jakiś nowi ludzie, zaczęli pukać, my też i pytamy przez otwerek, ktp tam siedzi, okazało się, że siedziało tam 18 osób skazanych na karę śmierci. Przeważnie byli to policjanci niemieccy. To byli swoi, Białorusiny, może i Polaków tam trochę było, to znaczy ci, co służyli w komisji porządkowej w czasie okupacji. Tej samej nocy, czy następnej nocy zabrali ich. wszystkich. Chyba tam nie było jeszcze AK-owców. Zabrano ich do dużego więzienia, które w tym czasie już było czynne, były tam specjalne cele dla skazanych na karę śmierci, dwie cele było. Potem okazało się, że nie wszystkich wtedy zabrali, napewno część rozstrzelali. Jednego spotkałem o nazwisku Borowik, któremu karę śmierci zamienili na 20 lat katorgi, ale większość napewno rozstrzelali. W tym czasie kary śmierci sypały się, bo aresztowywali tych niemieckich policjantów, którzy z Niemcami nie wycofali się a oni brali udział przeważnie w rozstrzeliwaniu Żydów. Może

nawet sami nie roztrzeliwali, a udział brali w tym. W tej celi siedzieliśmy około tygodnia, potem rozrzucone nas po różnych celach. Trafiłem do celi numer 11. Była to cela ciemna, okna wychodziły nie na zewnątrz, a do przybudówki, w której znajdowała się kuchnia. Dzień i noc w tej celi paliło się światło. Światło w tym czasie było niby to elektryczne, ale często gasło, bo tuż po wojnie nie było jeszcze elektrowni, tylko agregaty prądotwórcze. Gdy światło elektryczne gasło, to zaraz zapalało się kaganek w postaci łuski od pocisku, do której nalewali olej, wsadzali kawałek szmaty i to się zapalało. Cela od tego była cała zakopcona. ~~Podłoga była drewniana, wreszcie~~ Podłoga była betonowa, a w innych celach podłoga była drewniana. Siedział tam mieszkańca Wilejki, nie pamiętam nazwiska, który chory był na gruźlicę. Zgasł w ciągu miesiąca. Ci co tam już byli ^{więźniowie} mówili, ~~że przyszedł~~ w tej celi, mówili, że przyszedł jako normalny człowiek, a gdy ja przyszedłem tam, to on był już na wykończeniu i zmarł w celi. Szpitala w tym więzieniu nie było. Jeśli ktoś zachorował i sam wyleczył się, to dobrze. Lekarz był, codziennie robił obchód, ale nie to nie dawało. Lekarz przychodził i pytał: jak się czujecie, czy wszyscy zdrowi? Jeśli ktoś mówił, np., że boli go żołądek, to odpowiadał: wozmicie poroszczonek /proszę zażyć proszek/. Drugi powiada, że boli go głowa, coś w piersiach boli /kłuje/ - wozmicie poroszczonek - i wyjmuję z drugiej kieszeni. Potem okazało się, że i z jednej i z drugiej kieszeni - to są jednakowe proszki. Ten chory na gruźlicę tego lekarza prosił, żeby przenieśli go chociaż do innej celi, bo ~~w tej~~ ^{ie} ~~była bardzo wilgotna, a przy gruźlicy wiadomo, jak to jest~~ ta cela jest ciemna, wilgotna, a przy gruźlicy wiadomo, jak to jest szkodliwe,

ale niestety. I zmarł w celi.

Znam i drugi przypadek. Taki młody chłopak Alek Kapusta, syn lekarza czy felczera miał zapalenie wyrostka robaczkowego. Nie mógł nic jeść, przynosili mu jedzenie z domu, który znajdował się zresztą niedaleko więzienia. On też składał skargę naczelnikowi więzienia, który nieraz wizytował cele. Mówił, że jeść nie może, ma wymioty, ~~Ma~~ ma chyba stan zapalny. Naczelnik odpowiedział, że ma jeść to co mu daje, ^{to będzie} ~~ixixixixix~~ ^{zdrów}. Ten wytrzymał, bo był młody i wytrzymał do zakończenia śledztwa. W tym więzieniu siedzieli tylko ci, którzy znajdowali się w stadium śledztwa. Po zakończeniu śledztwa przenoszono do dużego więzienia NKWD. Tam już nie było takiego rygoru, choć ciasnota też była. Ale można było i w karty pograć. W każdej celi więzienia pośrodku ^{w drzwiach} ściany był judasz, żeby strażnik mógł obserwować celę wewnątrz od strony korytarza. Było to dziwne więzienie, stare, budowane kiedyś. Jeśli cela była duża, to w rugim jej końcu grali w karty, które robili sami. Więc strażnik zaglądnąc nie widział ich nawet. Natomiast w tym śledczym więzieniu wzdłuż korytarza z jednej strony było 4 cele, a z drugiej - 6. Z obu stron korytarza chodził strażnik. Byli wśród strażników tacy, którzy za często nie zaglądali do cel, inni natomiast zaglądali często. Trudno było ukryć się przed strażnikiem. Nie było tam zresztą takiego zagęszczenia i strażnik niekiedy liczył więźniów w celi. Jeśli ktoś schował się np. za piec i chciał tam chociaż na stojąco pospać, a strażnik zaglądając nie doliczył się wszystkich, to otwierał drzwi i wyprowadził schowanego. Mógł go potem posadzić do karceru lub inne sankcje zastosować, dozwolone czy nie

dozwolone.

Siedziałem więc w tej celi. Często brano mnie na przesłuchanie, oczywiście w nocy. Jak się odbywało branie na przesłuchania?. Przychodził strażnik, otwierał drzwi i mówił np. "na bukwu ja" /na literę "J"/, a ja mam nazwisko Jachiewicz. Wszyscy, których nazwisko zaczynało się na tę literę, podawali swoje nazwisko. Ja natomiast byłem jeden w celi z nazwiskiem na literę "J", więc gdy on nazywał tę literę, to ja już wiedziałem, że chodzi o mnie. Wstawałem nawet nie odpowiadając. Raz strażnik zapytał, dlaczego ja wstaje, odpowiedziałem: wiem, że chodzi o mnie. Jeśli było kilku więźniów z nazwiskami na tę samą literę, to wszyscy się budzili. Zresztą wogóle wszyscy się budzili. Niejednokrotnie jednego więźnia zabierano kilka razy w ciągu jednej nocy, żeby jego wymęczyć. Przychodził on z przesłuchania, ~~niezrozumiał się rozbrajał~~ rozebrał się, położył i słyszy, że znów otwierają kluczem drzwi.

śledczym
W tym więzieniu byłem do czerwca 1945 r. - niecałe 6 miesięcy. Bardzo mnie i innym dokuczało bicie, torturowanie, bezsenność, sadzanie do karceru. W więzieniu śledczym było 2 karcery, oprócz tych cel, o których mówiłem, była łaźnia, była kuchnia. Karcer miał ok. 1,8 m długości i nie więcej, niż 70 cm szerokości. Na podłodze była mała pryczka - parę desek i to wszystko. Byłem w karcerze 2 razy. Trafiłem tam tak. Śledztwo, które prowadzili w więzieniu było powtarzaniem poprzedniego, a może i coś nowego ~~mi~~ mówiłem. Miałem wtedy dobrą pamięć i dużo pamiętałem, co mówiłem od początku. Natomiast ten, który plątał się, miał gorzej. Śledztwo prowadził młody człowiek w stopniu młodszego lejtnanta o nazwisku Owieczkin. On biciem nie zajmował się, za to zabro-

nił podawania mnie paczek, nękał mnie nocą i robił inne rzeczy. Np. ja siedziałem wezwany, a on czytał gazetę albo przychodzili do niego koledzy, koleżanki /bo podobnie on był sekretarzem organizacji komsomolskiej/na terenie zarządu NKGB/, a potem mnie odprowadzano do więzienia. Był³ tak kilka razy - być może musiał on ~~wrobić~~^{odsiedzieć} po prostu jakieś godziny obowiązkowe. Był to, jak mówiłem, młody człowiek, o ~~kilka~~³ zaledwie lat³ starszy ode mnie, ale już starszy śledczy. Pewnego razu powiada do mnie tak: przecierz Niemcy zabijali ludzi, a ciebie nie zabili. Mówiliśmy po rosyjsku. Ja znałem ten język dość dobrze, znałem jeszcze wcześniej, bo w naszym domu było dużo rosyjskich książek. Nawet pytano mnie, skąd tak dobrze znam rosyjski, bo wśród młodzieży to ~~ix~~ się rzadko zdarzało w tym czasie. Odpowiedziałem, że z książek. Więc znów pytają, dlaczego Niemcy mnie nie zabili. Odpowiedziałem; chyba dla was zostawili. Śledczy strasznie się rozżłościł i za nieodpowiednie zachowanie się w czasie śledztwa dali mnie trzy dni karceru. Do karceru wsadzano różnie, podobno niektórych rozbierano do bielizny. Ze mnie zdjęli sweter i marynarkę, zostałem w butach, kalesonach, spodniach, koszuli. Jak już mówiłem karcer był bardzo małym pomieszczeniem, w górze miał komin-wywietrznik, na samej posadzce leżało kilka desek, co tworzyło pryczę. Jeśli chodzi o jedzenie, to w karcerze dawano połowę dziennej porcji chleba, t.j. 225 g oraz wodę - wrzątek. Poza tym na trzeci dzień ~~dali~~^{dawali} ~~mnie~~ zupę. Najbardziej dokuczał tam chłód, szczękałem zębami i trząsałem się cały. ~~Wzywano mnie na przesłuchania, nie wiedząc, że~~

Ponieważ pomieszczenie karceru było bardzo małe, nie mogłem nawet chodzić tam, aby się trochę rozgrzać. Wzywano mnie czasem na przesłuchanie, nie wiedząc, że robią mi tym wielką przysługę. Kiedy mnie wzywano do budynku, który był oddalony od karceru o około 30 metrów, musiałem się ubrać, bo nie mogli prowadzić mnie tam, gdzie chodzili ludzie, w jednej koszuli. Więc ubierałem się, nawet kożuszek mój wkładałem, siedziałem w ogrzonym pokoju i w ten sposób trochę się rozgrzewałem. ~~Przez~~ Jeśli do karceru wsadzali legalnie /bo mogli i nielegalnie to zrobić/ musiała być na to decyzja. Więc przeczytali mi decyzję Naczelnika Wydziału Śledczego - za nieodpowiednie prowadzenie się na śledztwie. Przesiedziałem w karcerze noc i przed wieczorną zmianą dyżurnych - personelu strażniczego, oficerów i strażników - mnie zwolniono stamtąd. Nie wiedziałem, dlaczego, przecież w przeczytanej mi decyzji mówiono, że mam siedzieć w karcerze 3 dni. Okazało się, że tam była jakaś inspekcja i - choć wszyscy byli dobrymi oprawcami i katami - bali się jedni drugich, a może zależność służbowa ~~jakaś~~ była, lepiej niech to będzie w porządku. I wypuszczono mnie z karceru. Drugi raz trafiłem do karceru tak.

Siedziałem w celi, a właściwie schowałem się do kąta i w kącie na stojąco spałem, bo byłem bardzo niedospany. Strażnik zobaczył przez judasza, że brakuje jednego człowieka, otworzył drzwi i widzi, że jestem w kącie, z którego nie zdążyłem wyskoczyć. Jak mówiłem, spacerować po celi mógł tylko jeden człowiek, reszta musiała siedzieć. Przyłapał mnie więc i kazał mi usiąść w kucki. Jest to bardzo męcząca pozycja. Według regulaminu nie wolno im było tego stosować, ale stosowali to. Ja przykucałem, ale nie siedziałem tak

na pryczy długo, wstałem i siadłem. On przyszedł, popatrzył i mówi: czemu wstałeś, siadaj. Ja odpowiedziałem, że nie będę, a może jeszcze coś. On poszedł, zamknął drzwi, wezwał dyżurnego więzienia, bo oprócz strażników był jeszcze dyżurny albo oficer, albo podoficer. Był taki jeden w stopniu "starszyny" /

o nazwisku Sawczenko. Nazywali go buldogiem. Przychodzi, wywołuje mnie na korytarz. Najpierw dostałem kluczem pod żebra, potem w bok. Pyta, dlaczego ja nie podporządkowuję się strażnikowi. Mówię, że on stosuje niedozwolone /niestosowne/ metody. Dostałem jeszcze raz kluczem i zamknięto mnie do karceru. Ale już bez żadnej decyzji. Jeśli na przykład śledczy wsadza do karceru, to on ma swoje powody, powiedzmy więzień nie przyznaje się, czy niestosownie odpowiada, czy coś jeszcze, a jeśli wsadzają za naruszenie przepisów więziennych, to musi być decyzja naczelnika więzienia. Wsadili mnie w ciągu dnia i siedziałem do późnego wieczora. Przed 10 wieczorem była zmiana strażników i dyżurny zmieniający się podczas apelu sprawdzał gdzie kto jest, ile więźniów w jakiej celi i ponieważ nie było decyzji, to musieli mnie wtedy wypuścić. To były te dwa razy. Poza tym w czasie dalszego pobytu w więzieniach i w obozach nigdy już nie trafiłem do karceru. Tu nie chodzi o posłuszeństwo, po prostu trzeba mieć odpowiednią postawę w odpowiednich okolicznościach.

W końcu śledztwo zostało zakończone. Było to w pierwszych dniach maja, akurat ^{w dniu} wtedy, gdy został zdobyty Berlin - 2 maja. Zebrano nas 16 osób, połączonych w jedną grupę. Ja zresztą nie wiedziałem, że to będzie jakaś grupowa sprawa.

Wśród tych ludzi byli znajomi, a byli i całkiem nieznanymi osobami. Głównie byli tam ludzie z trzech republik: białoruskiej, litewskiej i jeden był z Łotwy, który w czasie wojny był w ~~wileńskim~~ oddziale ~~partyzanckim~~ ^{na} terenie wileńszczyzny. Zebrano nas, odczytano wstępny akt oskarżenia. Oskarżono nas za przynależność do polskiej formacji wojskowej - kontrrewolucyjnej, białopolskiej, burżuazyjnej, podległej emigracyjnemu rządowi w Londynie, której zadaniem było odierwanie od Związku Radzieckiego Zachodniej Ukrainy, Zachodniej Białorusi i części Litewskiej Republiki. To było zasadnicze oskarżenie. ~~Właściwie~~ Poza tym innych większych oskarżeń nie było, ponieważ w zasadzie działalność była prowadzona w okresie okupacji niemieckiej. Czytanie protokołu trwało 2 dni, bo było 16 osób, a napisana była cała księga. Był to protokół wstępnego zakończenia śledztwa.

Po zakończeniu śledztwa część chłopców siedziała w więzieniu t.zw. dużym, o którym już ^u mówiłem, a część w małym, śledczym, Wszystkich nie mogli pomieścić w więzieniu śledczym, było tam 11 cel, a nas było 16. Oni bardzo przestrzegali zasady, żeby ci, którzy podejrzani byli o jakąś wspólną działalność, nie siedzieli razem i nie mogli porozumieć się odnośnie zeznań. Wiec 2 maja przeczytali nam wstępny akt oskarżenia, bo cały akt formułuje prokurator, potem było spotkanie z miejscowym prokuratorem, który niby miał za zadanie nadzorowanie śledztwa, ale nie nadzorował. Prokurator przyszedł po kilku dniach od odczytania protokołów, znowu nas zebrano, rozmawiał z nami. Było to chyba 10 maja, tuż po zakończeniu wojny. Prokurator powiedział m.in. że wojna skończyła się i mogą nastąpić jakieś zmiany w tych sprawach, my też myśleliśmy o tym, że jeśli

wojna się skończyła, to nas zwolnią z więzienia, ale do tego nie doszło. I zaraz po zakończeniu śledztwa część moich kolegów, którzy siedzieli w małym więzieniu śledczym, gdzie nie trzymali dłużej, niż do zakończenia śledztwa, przenieśli do dużego więziwnia NKWD. Nie wiem z jakiej przyczyny zapomnieli o mnie i zostałem sam. Przy kolejnym przeniesieniu z więzienia do więzienia mnie też przenieśli. Umieszczony zostałem w celi numer 6 tego dużego więzienia, na dole w piwnicy. Ciasnota tam była niesamowita. Było już lato, czerwiec 1945 r. Było bardzo duszno, nie było możliwości spacerowania po celi. Na spacer wyprowadzano nas dwa razy w tygodniu. Cella numer 6 była celą kwarantanną, po jakimś czasie umieszczano więźniów w innych celach. Gdy okazałem się tam, spotkałem kilku znajomych z mojego terenu. Potem trafiłem do celi numer 32. Długo też tam nie siedziałem, rozformowano ją, ponieważ siedziało w niej dużo nastolatków. Potem okazałem się w celi chyba 38. Była to cela pojedyncza, ale siedziało w niej około 20 osób. Głównie Białorusini i jeden chłopak z AK, który siedział w więzieniu razem z dwiema siostrami. W tej celi też długo nie byłem, też nas rozgonili i w końcu trafiłem do celi 33, gdzie siedziałem długo, napewno z pół roku. Była to największa cela w więziwniu. Tam spotkałem dwóch kolegów, którzy byli w mojej grupie Przeważnie siedzieli tam AK-owcy, spotkałem tam naczelnika milicji ze Świra, któremu - gdy mnie aresztowali - podlegał areszt tymczasowy . Był w stopniu starszego lejtnanta. Wsadzili go zdaje się za łapówki, miał 5 lat wyroku i oczywiście był konfidentem, bo skoro siedział razem z więźniami, którzy jeszcze nie byli po wyroku /bo po wyroku więźniowie siedzieli w osobnych celach, a potem

wysyłano ich do obozu/. Patrząc i widząc jakąś znajomą twarz a jeszcze m.in. spotkałem tam, z którym siedziałem poprzednio w Świrze w jednej celi. Tam siedziało ich trzech braci rodzonych, jeden stryjeczny, więc trzech chłopców o jednakowym nazwisku. Pytam: co to za facet, a on właśnie powiedział mi, że to jest naczelnik milicji ze Świra. Nigdy nie spodziewałem się, że takiego mogłbym tam spotkać. Zresztą w tym że więzieniu, w Wilejce usłyszeliśmy o procesie Okulickiego. Prasa oczywiście do więzienia nie docierała.

~~Natomiast gazety czasem trafiały się albo w paczkach, które~~
 Natomiast, gdy nam podawano paczki, to czasem były one owinięte w gazetę, niekiedy specjalnie podawano nam gazety - oczywiście prasę radziecką, czasem dawano nam papier na skręty do machorki. Gazety te były ~~wozerwane~~, nie w całości. Właśnie z tych skrawków gazet dowiedzieliśmy się m.in. o procesie 16-tu w Moskwie. W tym przypadku przygnębiło nas to. Wojna się skończyła, teraz przywódców naszych osądzili, co nas teraz czeka? Chyba to samo.

Jesienią 1944 r. ogłoszono dekret o amnestii dla dezertersów. Ale zwalniali tylko tych dezertersów, którzy ukrywali się przed pójściem do wojska. W tej grupie znalazło się trochę AK-owców, których nie oskarżyli o przynależność do AK. Aresztowano ich nawet z bronią, ale jako dezertersów, którzy ukrywają się przed wojskiem. Oni byli przesłuchiwani nie przez ^{GB} NKWD, a przez ~~NKWD~~ NKWD, tam trochę łżej te sprawy traktowano, no i nie było oskarżenia o przynależność do AK. Choć faktycznie byli to AK-owcy, ludzie z konspiracji. I zwolnili ich na mocy tego dekretu.

Siedziałem w tej celi do lutego 1946 r. Dlaczego tak długo siedziałem? Zaraz po zakończeniu śledztwa, kiedy znajdowałem się już w tym dużym więzieniu, ~~przez jakiś czas~~ poinformowano mnie i innych z mojej grupy też /po zakończeniu śledztwa, nie w czasie, więźniów informowano, gdzie znajduje się ich sprawa/, że sprawa znajduje się u prokuratora wojsk MWD obwodu mołodoczańskiego. Jeśli więc sprawa znajduje się u prokuratora, to można się spodziewać, że za jakiś krótki czas /za może za parę tygodni/ zostanie skierowana do sądu, to znaczy do wojskowego trybunału i wówczas już w ciągu kilku dni będzie rozprawa. Tak siedzimy i siedzimy i czekamy z Rodziemi ^{czem i...} miesiąc i drugi - i nie ma. W końcu znów powiadomiono nas, że sprawa nasza znajduje się w Moskwie, w specjalnym kolegium, t .zw. OSO /Osoboje Sowieszczanie - Narada Nadzwyczajna/. Jeśli więc sprawa trafiła do tego OSO, oznacza to conajmniej jeszcze rok siedzenia w ~~więzieniu~~ więzienia. W tym czasie śpieszyliśmy się wyjść z więzienia i trafić do obozu. Później, gdy poznaliśmy obozy, to pomyśleliśmy, że lepiej oczywiście było siedzieć w więzieniu, gryźć suchary, które dowozili. Choć Wilejka oddalona była od mojej rodzinnej miejscowości o ok. 100 km dojeżdżali stamtąd - wprawdzie tylko końmi - do więzienia i co 2-3 tygodnie, czasem co miesiąc przywozili worek sucharów, boczku słoniny, ~~przywieźli~~ cebuli przywieźli. Więc z wyżywieniem problemów tam nie było. W tym czasie ludzie jeszcze mieli co jeść. To co przywozili, choć wirki niekiedy, niewystarczało do następnego razu, bo trzeba było przecieżyć dzielić się z kolegami, bo byli i tacy, którzy nie otrzymywali

paczek.

Wspominałem już o tym chłopcu, który chorował na wyrostek robaczkowy. Już po operacji nie poznałem jego, bo nabral tuszy. Zrobili mu operację po zakończeniu śledztwa, gdy przeprowadzili do dużego więźniwnia, po prostu zawieźli go ciężarówką do szpitala, zrobili operację i od razu po operacji tą samą ciężarówką przetransportowali do więziennego szpitala. Siedziałem w 6-j celi do czerwca. Pewnego dnia wrzucają do tej celi ... Rodziewicza i Józka, z którymi poprzednio siedziałem, i w tym samym dniu przychodzi dyżurny z kartoteką, wzywa mnie, Roniszkisa i Rodziewicza. Z kartoteką, to znaczy, że przemieszczą nas gdzieś znowu. Zabrali nas na podwórze, wszystkich z tej grupy i jeszcze bardzo dużo innych więźniów, w sumie ok. 50 osób. Gdzieś nas wysyłają, ale gdzie, to nie wiem. Odprowadili nas na dworzec kolejowy, wsadzili do więziennego wagonu. Jak wiadomo, więzienne wagony nazywano "stołypinki". Ale to był normalny wagon, tylko zakratowany z obu stron. Wokół stali strażnicy. Pojechaliśmy. Myśleliśmy, że wiozą nas gdzieś do Rosji, do łagru. Wprawdzie byliśmy jeszcze bez wyroku, ale wszystkich sprawy znajdowały się w Moskwie, w OSO. ~~orientowałem się, bo nie znałem tych terenów~~ ~~Ja nie wiedziałem, a byli i miejscowi, którzy wiedzieli,~~ gdzie się znajdujemy. Mówią, do Lidy nas wiozą, to znaczy na południe. Pomyśleliśmy, że wiozą najpierw do Lidy, potem - niewiadomo gdzie zawiozą, może do Baranowicz, a z Baranowicz dopiero na Wschód. Przyjechaliśmy do Lidy, z Lidy na most i w kierunku Grodna. Pomyśleliśmy, że może nawet jedziemy do Polski, ale między nami było kilku Rosjan. Myślimy znów: jeśli jedziemy do Polski, w kierunku Grodna /a od Grodna do

granicy polskiej ok. 12 km/, to dlaczego Rosjanie jadą z nami? Przyjechaliśmy do Grodna, wyładowano nas w Grodnie i przeprowadzono do więzienia. Po co nas przemieszczali, trudno zgadnąć. W Grodnie przesiedziałem 3 miesiące, w trzech celach tam byłem. W sierpniu 1946 r. znów zabrano naszą grupę i innych więźniów i odprowadzono na dworzec. Tym razem nie był to już taki wygodny wagon - "stołypinka" była, do przedziału w napchano nas z 15 osób. Dojechaliśmy do Lidy, w Lidzie staliśmy przez cały dzień. Był koniec sierpnia, trzymały się jeszcze upały, tak chciało się pić, nie dawano nam nawet wody. Rano następnego dnia przyjechaliśmy do Mołodeczna. W Mołodecznie przyjęła nas eskorta z więzienia z Wilejki i przywieziono nas z powrotem do Wilejki, ~~na~~ chyba do celi numer 40 trafiliśmy. Spotkaliśmy w tej celi jednego faceta, którego przywieźli z Kołomy - na sąd do Wilejki. W pierwszych latach po zakończeniu wojny niektórych wywozili bez sądu i albo później śledztwo i sąd przeprowadzano w obozie, a niektórych przywożono. Więc on nam trochę opowiadał o Kołymie, a nam nie chciało się wierzyć, że tak może być. Pamiętam, przynieśli zupę dla nas /kapuśniak, do którego wrzucano całe główki kapusty z robakami, było w nim trochę ziemniaków/, my nie bardzo to jedliśmy. Choć wróciliśmy z Grodna, nie nie mieliśmy, byliśmy głodni, ale nie mogliśmy tego jeść, a ten człowiek jadł.

Następnie przeczytano nam, że sprawa znajduje się w wojskowym trybunale wojsk MWD w Wilejce. Chyba za tydzień nastąpiła rozprawa. Rozprawa była krótka, ale przy 16-tu osobach zajęła cały dzień. Trochę nas popytali. Rozprawa odbywała się

przy drzwiach zamkniętych w klubie MGB, przy tym budynku, gdzie znajdował się zarząd MGB. Sąd składał się z trzech osób: kapitan sądownictwa Borodulin, ^{oraz} podpułkownik bezpieczeństwa Łopatko i lejtnant bezpieczeństwa Polański - jako ławnicy. Przewód sądowy był krótki, zaraz wyrok, wszyscy 16 osób dostali po 10 lat, łącznie 160 lat. Wyroki były z kodeksu białoruskiego artykułów 60 i 76 /jest to odpowiednik art. 58 punkt 1 i ~~któr~~ jakiś jeszcze inny kodeksu ^{Sowieckiego} ~~polskiego~~/. Sądzone nas za zdradę ojczyzny /^(art. 62) i organizacje antysowieckie /~~to~~ art 76/. w oskarżeniu mieliśmy Jeszcze ~~nie mieliśmy~~ artykuł 64 - zbrojne podstawy, ale albo prokurator, albo sąd odrzucił ten artykuł.

Dostałem więc 10 lat, -w tym przez 5 lat pozbawienie praw obywatelskich, konfiskata mienia, przepadek broni, która została zabrana.

Wyrok ogłoszono 10 września 1946 r. Potem nie byliśmy długo w więzieniu, może tydzień, może więcej. Znow transport do Orszy. Byliśmy tak krótko w więzieniu,, bo nie zaskarżyliśmy wyroków - mieliśmy prawo zaskarżenia wyroku w ciągu 72 godzin, taki był przepis. Z 16-tu tylko dwie osoby zaskarżyli wyrok, ale nic to nie pomogło, tylko że dłużej o miesiąc siedzieli w więzieniu, bo czekali na odpowiedź z Mińska, gdzie znajdowała się wyższa instancja trybunału wojskowego tam się znajdowała.

Zawieziono nas do Orszy w wagonie towarowym. Orsza przedstawiała makabryczny widok: całe miasto /a to był duży węzeł kolejowy ~~kolejowy~~/ było zniszczone, stał jeden szary budynek. Wszyscy, co siedzieli na Białorusi musieli przejść przez Orszę. Był to częściowy punkt etapowy, więzienie przejściowe.

arty 63

Zresztą obóz też tam był, gdzie pracowali więźniowie, ale przeważnie siedzieli tam za pospolite przestępstwa, politycznych tam nie trzymali. W Orszy byłem do 4 listopada 1946 r., około 1,5 miesiąca. Tam przyjechała do mnie siostra, paczkę dostałem i pieniądze, których zresztą mi nie dali. ~~Rozdzielali~~ ~~wszystki kryminaliści, szabrownicy, t.zw. "uraki" "urki"~~ Tamtejsi kryminaliści, szabrownicy, t.zw. "urki" czy "błatnyje" rozbierali ludzi do naga. Jeśli ktoś stawiał opór, gdy był sam, to mogli jego nawet zabić. Sam nie byłem świadkiem morderstwa, ale morderstwa tam były.

Przywieźli nas do tego więzienia pod wieczów, dali jakiegoś kapuśniaku, nocowaliśmy na klatce schodowej. Było między nami parę rodzin, m.in. z Grodna, których deportowano na zesłanie.

Nazajutrz wygoniono nas na podwórko więzienne i myśmy tam spacerowali sobie i zauważyliśmy przez okna niektórych znajomych, których poprzednio wywieźli i czekali na wysłanie do obozu. *Wie wprzód* Zapytaliśmy dwóch chłopców, dlaczego tu jesteście, a oni odpowiedzieli, że jak traficie do celi, to zobaczycie, co z wami będzie. To już była gorsza sprawa.

Trzeba było jakoś przeciwdziałać temu. Był wśród nas oficer, *kapitan (narw. nie rozumiał)* Własowicz /właściwie z brygady Rodionowa, która nie podlegała Własowowi/ *ale* z tych wojsk, którzy służyły Niemcom. On znał trochę stosunki sowieckie i powiada tak: trzeba się bronić, chłopcy, jeszcze przed nami 10 lat. W czasie spaceru mieliśmy ze sobą torby z jedzeniem, do których nabraliśmy kamienie, żeby w razie potrzeby stawić odpowiedni opór. I tak się stało. Wpuścili nas do celi - cele tam były ogromne, siedziało w

nich po 200 osób, a czasem i więcej, ciasnota była niesamowita, *takie, że człowiek nie mógł nog*

wyciągnąć, a od takich siedzenia ze

zgiętymi nogami zostawał niesamowity ból w kolanach)

~~wita~~ i od razu rzucili się na nas. Tak już było, jak ktoś święty wchodził do celi, to natychmiast rzucono się na niego, rozbierali, zdejmowali buty, zabierali wszystko. Myśmy od razu postawiliśmy opór i odegnaliśmy ich. Co było dalej robić? Jak się usadowić? Podeszliśmy do jednego, nie patrząc, kto to był i wyrzuciliśmy tłumoki /?/ na środek celi. W ten sposób ulokowaliśmy się. Nas już więcej nie ruszali. A za kilka dni był transport z Brzeście, to ich rozebrali, pobili. My w obronie nie stawaliśmy. Ponieważ oni nie stawiali żadnego oporu, to po co mieliśmy się włączać w to.

~~Różnicznasypresionowzxtęjzaki~~ Potem część naszej grupy przeniesiono do Kalina, bardzo blisko, skąd mój kolega Wysocki uciekł /obecnie znajduje się w Olsztynie/. Obozy były na terenie całego Związku Radzieckiego. W tym czasie w 1946 r. cała Białoruś była pokryta obozami, w najmniejszym miasteczku były obozy - w Lachowiczach, Żodzinie, Borysowie.

4 listopada 1946 r. po wstępnej komisji, niby to lekarskiej, która dokonywała po prostu oględzin człowieka /tak jak kiedyś jak kupowali konia, to też go oglądali/ załadowano nas do wagonów. towarowych. Wagonów było chyba 7, a osób około 50. W wagonach stałe piecyki, były prycze, więc część ulokowała się na pryczach, a część musiała spać na podłodze. Oprócz mnie nie było tam żadnego Polaka. Ja najpierw zająłem pryczę, ale szybko zgonili mnie z niej. Staliśmy w tych wagonach do 9 listopada, gdy dołączono do naszych wagonów dość duży transport, razem było około 40 wagonów. Byli tam więźniowie z Mińska i z mniejszych obozów z Białorusi, którzy nie przeszli przez tranzytowy punkt w Orszy i dołączyli bezpośrednio do transportu.

Nocą 9 listopada, po święcie październikowym /7 listopada/ odjechaliśmy. Początkowo warunki były jeszcze znośne: nie było jeszcze dużych mrozów, dawali nam trochę ^{Wszale} opału na stacjach. Warunku pogorszyły się dopiero, gdy mineliśmy Ural, zaczęły się mrozy, bo był już koniec listopada. Potem wjechaliśmy do Syberii, był początek grudnia. Początkowo jechaliśmy ~~na~~ w kierunku na Kazań i cieszyliśmy się, że nas wiozą nie na Północ, a na Wschód /w czasie jazdy pociągu, choć okna były zakratowane, można było obserwując zachód słońca zorientować się, w jaką stronę jedziemy/ od Moskwy. Rosjanie wiedzieli, że jedziemy w kierunku Kazania. Więc jedziemy może na Ural, może na Syberię. I tak dojechaliśmy do Irkucka. W Irkucku nastąpiła zmiana eskorty. Jadąc oczekiwaliśmy, że któregoś dnia pociąg zatrzyma się i nas wyładują do obozu, a ponieważ tylko eskorta się zmieniła, to zrozumieliśmy, że to dopiero pół drogi, oczywiście w przybliżeniu. Zaprowadzono nas tam do łaźni. Mróz był ok. 40⁰, był grudzień i panowały tam na Syberii t.zw. "kreszczenskie" - bożenarodzeniowe mrozy. Łaźnia, t.zw. "sanpropusknik". Łaźnia była zamrznięta, wszędzie śnieg. Nie bardzo chciało się nam wchpdzić do tej łaźni, ale poszczu- to nas psami, poszliśmy, jakoś umyliśmy się. Były tam prysz- nicę, chyba dali po małym kawałku mydła - mydło zawsze dawali w łaźniach, wprawdzie kilkugramowe kostki, ale dawali. Star- czyło, żeby wmyć się, a byliśmy strasznie brudni, bo w wago- nach panowały przecież okropne warunki, nie myliśmy się tam, bo nie było czym. Jeśli dawali trochę wody, to nawet do picia jej nie starczało, zeskobywaliśmy zamarznięty szron ze ścian i gasiliśmy tym pragnienie. Jeśli chodzi o żywienie, to raz dziennie dawali zupę, dwa razy dziennie - wrzątek i po 600 g

chleba dziennie. Poza tym jeszcze częstowano nas młotkami. Co to było? Więc na każdym postoju żołnierze z eskorty opukiwali wagony drewnianymi młotkami. Każdego dnia był apel. Gdy pociąg ^{dużeli} stał gdzieś na stacji, nas ~~wyprowadzano z wagonów~~ przeliczano. Odbywało się to tak. Przychodziła eskorta, wchodziła do wagonu, przegoniali wszystkich na jedną stronę wagonu, ustawiali się pośrodku z tymi młotkami i trzeba było przechodzić między nimi, a każdego "odliczano" młotkiem. Trzeba było starać się przechodzić bardzo szybko, żeby nie dostać młotkiem zbyt boleśnie. Jeśli uderzali np. w ramię, plecy, pośladki, to było pół biedy, gorzej, gdy dostawało się w głowę. Jeśli im coś nie wyszło, to drugi raz przeliczano i można było jeszcze raz dostać. Tak było każdego dnia. Szczególnie przy pierwszej eskorcie do Irkucka ci byli bardziej ludzcy. Jeśli brakowało węgla, to niejednokrotnie na stacjach oni wypuszczali więźniów, żeby zebrali trochę węgla z hałd. Gdy w Irkucku zmieniała się eskorta, to sytuacja się pogorszyła. Ci wogóle już nie nam nie dawali, tylko młotkami tłukli.

no str. 38

Po umyciu się pod prysznicami wpuszczono nas do pomieszczenia, w którym znajdowały się nasze ubrania wyrzucone z tej t.zw. prażarki i w tymże momencie zgaskło światło. Zaczęły się dziać niesmowite rzeczy. Dobrze, że miałem jakiś koc, czy płachtę i ubranie moje ^{i buty} było związane w tej płachcie, to ^dje znalazłem. Niktórzy, co mieli swoje ubrania porozrzucane, to nie wiem, czy je odnaleźli.

Staliśmy w Irkucku przez dłuższy czas, bo było nas około 1,5 tysiąca - 40 wagonów razem ze służbą. Były tam też kobiety.

Nawet była tam moja znajoma - pani Łaszkiewiczowa, która teraz mieszka w Warszawie, ona też jechała tym transportem. Dalej jechaliśmy z Irkucka w kierunku Chabarowska koleją Transsyberyjską. Przejeżdżaliśmy obok Aleksandrowskiej Centrali, nie pamiętam, gdzie ona dokładnie znajduje się, czy między Irkuckiem i Czitą, czy przed Irkuckiem. Był to też punkt tranzytowy dla jeszcze zesłańców syberyjskich za czasów carskich. Stał taki duży budynek na pustkowiu. Jedziemy dalej, przyjechaliśmy do Chabarowska, już trochę ciepłej się zrobiło. W końcu dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Nachodki. Byli tacy, którzy ~~tam~~ w wojsku służyli na Dalekim Wschodzie, widzieli Nachodkę, to mówią: To jest koło Władywostoku, to dobre miejsce. Ale co my tam będziemy robić? Leży Nachodka ~~u~~ nad morzem Japońskim, więc może coś z rybami związane. Wogóle nie wiedzieliśmy, co nas dalej czeka.

Przyjechaliśmy do Nachodki 19 grudnia 1946 r. Rano byliśmy już w Nachodce, akurat wschodziło słońce ~~z~~ nad morza, pierwszy raz w życiu zobaczyłem morze - wychowałem się na wileńszczyźnie nie było możliwości pojechać nad morze. Niestety było to morze Japońskie. Wszyscy rzucili się do okien zobaczyć, jak to morze wygląda: nic ciekawego nie było, duża woda i duża mgła, ale widok był ładny.

Zacząto nas wyładowywać wygonami, w jakiejś kolejności i grupami goniono do tranzytki w Nachodce. Była to tak zwana Kołymska tranzytka - ~~stamtąd~~ ^{na Kolymę} tylko odchodziły transporty ~~dalej~~. Ale my o tym nie wiedzieliśmy. ~~Waz~~ Wiedzieliśmy, że jesteśmy w Nachodce, ciekawiło nas to. Zagoniono nas tam do obozu - szopa drewniana ^{szpary} obita deskami, mróz wokół 15-20⁰. Chciało nam się bardzo pić, bo do jedzenia dawali rybę, suchary - jak to w podróży. Służba obozowa zaczęła przynosić nam wodę w ba-

niakach. Zaczęliśmy wypytywać ich o Nachodkę, co oni tu robią, czy jest tu jakiś przemysł, jakaś kopalnia. A oni odpowiedzieli: Stąd jedna tylko droga - na Kołymę, a z tamtąd albo wcale się nie wraca, albo wraca się jako inwalida. Było to podobnie, jak w Oświęcimiu, tam też mówiono, że jest tylko jedna droga - przez komin.

Potem zaprowadzono nas do łaźni, obróbka sanitarna, golenie się, mycie, defilowanie nago przed kobietami - tam urzędniczki też pracowały. Ale obsługa w łaźni była męska. Ponieważ ja tam pracowałem dłuższy czas, od stycznia do lipca 1947 r. w szpitalu, a łaźnia i "sanpropusknik" był obok, więc wiem, jaka tam była obsługa. Zazwyczaj do golenia i tej "obrpki" brali mężczyzn z pośród więźniów. Ich tam karmili i w międzyczasie oni załatwiali te wszystkie sprawy. Natomiast sprawy ewidencyjne prowadziły kobiety. Przychodziło się po umycia, zapisywali wszystkie znaki szczególne na ciele i tp.

Po tej obróbce sanitarnej zagoniono nas do obozu tranzytowego do baraków. Baraki były niesamowicie przepełnione, szczególnie w zimie, bo latem więźniowie koczowali na dworzu, na polu. Umieszczono nas tam na podłodze. Byliśmy zadowoleni, ponieważ umyto nas, ogolono, umieszczono pod dachem, dano ^{upę} chleb za cały dzień, bo cały dzień nie jedliśmy, bo przyjechaliśmy rano, a nasza kolejka do "sanobrobotki" podeszła dopiero wieczorem.

Potem spotkałem tam dwóch znajomych, którzy przyjechali do Nachodki tym samym transportem: Wysocki, Lewczyński ~~Jerzy~~ pseudonim "Jerzy", porucznik, zginęli obydwaj w obozie. Potem ja zachorowałem - zapalenie gruczołów, z tego przeziębienia, z tego wszystkiego. Nie mogłem nic jeść. Nawet ten

chleb był dla mnie gorzki, chciało mi się bardzo napić mleka, ale mleka nie sposób było tam dostać za żadne pieniądze. W końcu doszedłem już do takiego ~~stopnia~~ stanu, że odesłano mnie do szpitala, do tego przyplatała się jeszcze przyziębienie z bronchietem - po tej podróży. Okazałem się w szpitalu. Był to obozowy szpital, tak zwane "sano" - sanitarny oddział /dział sanitarny/. Nie był to jakiś ~~specjalny~~ ^{pożądny} szpital. Po prostu takie same baraki, jak inne, ^{duża sala i} w których ~~były~~ małe kabinki, gdzie mieściły się siostry i inny personel szpitalny. M.in. była tam łazienka z wanną i prysznicem. Wymyto mnie tam porządnie, położono na łóżku z materacem, prześcieradłem i kocem. Wogóle wyglądało to tak: przy ścianie stały dwa jednoosobowe łóżka przeznaczone dla pięciu osób. Bardziej chorzy leżeli na łóżkach, a pozostali na podłodze. Poza tym była jeszcze kabina - izolatka, w której umieszczano tych, co dogorywali. Położyli mnie na ~~środku~~ łóżku i nagle słyszę jakieś dziwne dźwięki, jakby szczekanie psów. Okazało się, że to kaszel ludzi. Jeden zakaszla i ~~od~~ raz zaczął kaszleć cała sala, wszyscy bez wyjątku. To się działo przeważnie po spożyciu posiłków. Po upływie mniej więcej 20 minut, kiedy wszyscy się wykaszlali, znów następował spokój - i tak do następnego posiłku. W nocy działo się to samo. Był to oddział wewnętrzny, przeważnie leżeli tam chorzy na zapalenie płuc, bronchit itp. choroby. Zazwyczaj taka choroba, jak zapalenie płuc, nie jest chorobą groźną, natomiast tam ludzie umierali na tę chorobę. Leżeliśmy poprzecznie na tych łóżkach. Nagle czuję, że coś się dzieje obok mnie, patrzę - wynoszą nieboszczyka. Śmiertelność była niesamowita. Dlaczego? Przede wszystkim nie było lekarstw. Leżałem na czwartym wewnętrznym oddziale.

Ordynatorem tego oddziału był też więzień o nazwisku Filemonow Iwan Uwanowicz, profesor akademii z Kijowa. On chodził, wruszał ramionami, jedynym lekarstwem był rybi tran. Dobry to lek, ale nie dla ludzi wycieńczonych. Jeśli kogoś biegunka chwyciła, to wtedy tran nie pomagał, a naodwrot - szkodził. Poleżałem na tych dwóch łózkach w piątkę dzień czy dwa. Jako chodzącego i mniej chorego położono mnie na podłodze. Poprostu lekarze zajmowali się tymi, kto był już bardzo chory. A na mnie mało zwracali uwagi jako na chodzącego. Miałem całą szyję spuchniętą od ^{zapalenia} gruczołów chłonnych. Nie dawali mnie chyba nie. Ten lekarz Iwan Iwanowicz mówił, że trzeba robić mnie naświetlania, ale nie było lamp, nie było czym. Leżałem ~~tam~~ tak, aż zrobił się stan ropny i wtedy przeniesiono mnie do oddziału chirurgicznego, to był trzeci oddział chirurgiczny - ropnej chirurgii. Tam przeważnie leżeli ludzie z odmrożeniami, amputowano im stopy, palce. Dużo tam było wolnych, którzy wracali już z Kołomy po odbyciu kary. Byli to ludzie sądzeni w latach 1932, 1937 i 1938. Już zostali zwolnieni z obozów, wracali do domu i na statku na skutek morskiej choroby, ^{zasnęli} ^{się i} podmrażałam trafili do szpitala. Ci ludzie przeżyli Kołymę, odbyli 10 lat ^{jako wolni ludzie} obozów i już wracając do domu utracili nogę, czy palec, głównie na nogach, bo ręce mieli schowane. Tam na podłodze nikt nie leżał, wszyscy na łózkach. Łózka też były tam zestawione i na tych łózkach leżało zazwyczaj po cztery osoby. Mnie położyli na łóżku jako piątego. Oni leżeli wzdłuż, a mnie położyli w poprzek. Ci ludzie mieli amputowane stopy. W ciągu dnia mogłem trochę posiedzieć, pochodzić, ale w nocy przewracać się nie mogłem, bo jeśli ktoś kładł na mnie obandażowaną nogę, to przecież

nie mogłem mu przekładać tej chorej nogi. Była to męczarnia. Mnie zrobili zabieg, przecieli, powstawiali jakiś rurki, żeby ropa spływała, obandażowali. Po tym zabiegu trochę lepiej się poczułem, ale nie mogłem nic jeść, tylko bardzo dużo piłem. Z wodą tam też były kłopoty, bo w Nachodce była tylko podskórna słona woda. Wodę pitną dowożono z Suchanu, ponad 30 km /teraz Suchan nazywa się Partizanskoje/. Teraz Nachodka jest dużym miastem, chyba ma ponad 150 tysięcy ludności, więc mają tam zapewne i wodociągi, a wtedy była to niewielka osada. Obok mnie ^{Wasilij Karpow} leżał felczer, który jechał z Kołomy. Miał na nogach rany, wrzody i chodził o kulach. Ja jako lepiej chodzący pomagałem jemu. On miał pewne przywileje, bo był felczerem, przedstawicielem służby zdrowia i dlatego leżał sam na jednym łóżku. On się wyleczył dość szybko. Ponieważ wracał on z Kołomy, miał niedługo się zwolnić, to został tam pracować na tymże oddziale chirurgicznym. Zawerbował i mnie. Zapytał, czy potrafię pisać po rosyjsku. Ja byłem wprawdzie samoukiem, nie uczyłem się poprzednio rosyjskiego, ale trochę pisałem w tym języku. Sprawdził, jak ja to robię i mówi: dobrze. Pytam, co będę musiał pisać. Odpowiedział, że historie choroby. On sam pracował przy opatrunkach. Był tam ordynator, ~~był tam i sanitariusz~~ też więzień Romanow Michaił Fiodorowicz, chirurg wojskowy. Był to pierwszorzędny facet, też polityczny, Rosjanin, była tam siostra - Ukrainka Sofia Gerasimowna i kilku sanitariuszy. Zaangażowano więc mnie do tego pisania. Zapisywałem to, co mnie dyktował przy opatrunkach. Potem powoli zacząłem wykonywać i inne prace, ^{pracowałem} ~~byłem~~ i jako dyżurny sanitariusz potem dali pod moją opiekę tę salkę opatrunkową, ja tam

odpowiedzialny byłem za wszystko, przede wszystkim za czystość, trzeba było wszystko sprzątać, myć, sterylizować narzędzia, robić bandaże ze starych prześcieradeł, bo bandaży nie było. Stare bandaże prali, potem znów zwijali.

Wiosną 1947 roku trafił na nasz oddział młody chłopiec z pochodzenia pół-Rosjanin pół-Mandżur czy Chińczyk. syn rosyjskiego emigranta, szpieg japoński, przyczym prawdziwy szpieg, a nie tak, jak niektórzy, gdy podpisywali znakiem ... Nazwisko miał Safronow, imię - Anatol. Był ode mnie starszy o kilka lat. Jak on trafił do szpiegowskiej agentury? Został sierotą, ojciec i matka zmarli, dostał się do domu dziecka na terenie Mandżurii. Z domu dziecka jako dzieciaka zanrali go do szkoły japońskiej, szpiegowskiej. Skończył tę szkołę, mówił, że znał język chiński, japoński, angielski. Nie mogłem sprawdzić, czy on zna też języki, bo sam ich nie znałem.

Znał on te wszystkie akkana szpiegowskie, namówił mnie do ucieczki. Ale dla ucieczki trzeba mieć też sposobność, a poza tym Nachodka oddalona jest o 12 tysięcy km, od domu jakieś 10 tysięcy km. On powiedział mi na to: to nie twoja sprawa, to moja sprawa, byleby wyjść z obozu. Do granicy chińskiej od Nachodki niecałe 300 km. Był to rok 1947, w Chinach był Czan-Kai-Szek. Północna Mandżuria była zajęta przez sowiety, a dalej był Czan-Kai-Szek, w Korei ^{Południowej} ~~Północnej~~ byli Amerykanie. Więc pewna szansa była. Byleby uciec z obozu, dotrzeć do granicy. On tłumaczył mi, jak to wszystko należy zrobić, jak zmylić pogoń i t.d. Robiliśmy pewne przygotowania. Trzeba było dobrze umieć pływać, pływać umiałem. Potrzebne były pasy ratunkowe, bo trzeba było przepływać gorskie rzeki. Zresztą nie wiem, jaką trasę on wyznaczył.

Jak on znalazł się na terenie Związku Radzieckiego? Otóż

*i dalej
ze str. 46*

ha str. 45

został przerzucony i w Chabarowsku ich zaaresztowali. Niektórych skazano na karę śmierci, a on dostał 10 lat. Ja w tym czasie też miałem jeszcze do odsiedzenia ponad 7 lat do odbycia całego wyroku, więc trzeba było ratować się.

Zdobyliśmy pasy ratunkowe. Był tam obóz roboczy, gdzie robotnicy pracowali w porcie i zdobyli dla nas te pasy. I to nas zdradziło. Byli tam szpicle. Podejrzewaliśmy jednego faceta, który nas wydał. On zresztą też trafił na Czukotkę. Przyszedł pełnomocnik NKWD, znalazł u nas te pasy, trochę witamin, które nagromadziliśmy - skombinowaliśmy w szpitalu, trochę nazbieranych pieniędzy. Mając to wszystko czekaliśmy na okazję. A jaka to mogła być okazja? Czasem wożono węgiel z miasta. Do jego załadunku ~~brali~~ i rozładunku brali sanitariuszy ze szpitala. Wiedzieliśmy, że eskorta była tylko przy załadunku i rozładunku węgla, a ci co wozili węgiel, byli bez eskorty. Wtedy być może udałoby się nam uciec. Ale do tego nawet nie doszło i znaleźli pasy ratunkowe. Jego wzięli pierwszego, mnie - drugiego. Jego zamknęli w tak zwanym ZUR^{ze} /zona usilennego reżima/, co oznacza obręb wzmocnionego rygoru. Jego zamknęli tam. Mnie wzięli następnego dnia. Mogłem uchronić się od tego. Po prostu zachorować, sztucznie zachorować. Ja zaraz zwróciłem się do siostry, ona pobiegła do drugiego oddziału wewnętrznego, żeby mnie przenieść na ~~inny~~ inny oddział jako chorego. Tam był lekarzem fajny młody chłopak Miszka, wojskowy. Poszedł on do biura i chciał mnie ~~za~~ załatwić to przeniesienie, ale okazało się, że już zabrali mój formularz. Powiedział: niestety już za późno.

Przebrałem się w swoje ubranie, fartuch biały musiałem zostawić. Trzeba też powiedzieć, że jakie warunki w szpitalu były, takie były, ale przynajmniej higieniczne warunki były dobre. Była łazienka, można było wykapać się, czysta bielizna, czysty fartuch. Głodny człowiek też nie był. Nawet gdy byłem w Nachodce, otrzymałem dwie paczki z domu, choć w tym czasie i bez tego można było przeżyć. Warunki dotyczące w-żywienia były możliwe. Chleb chorzy nie zawsze zjadali, bo niekórzy nie mogli jeść, a ~~mięso~~^{zupy} czy ryby przynosiło się z kuchni, kucharz po znajomości też dawał.

Zabrali mnie do obozu. W obozie przechwyciła nas powódź. Wzięli mnie na przesłuchanie. Pełnomocnik zaczął mówić, że miałem uciekać, ja powiedziałem, żeby mnie wypuścili, że ja pochodzę stąd. Za jakiś czas zaczął szykować się transport na Czukotkę, bo Nachodka jako punkt tranzytowy został zlikwidowany w 1947 roku^y i przeniesiony do ~~punktu~~ miejscowości Wali /?/. Nie wiem, czy tam potem więźniowie byli jeszcze, bo myśmy odjechali stamtąd ostatni. Był to 1947 rok i w lipcu sformo-^{nas}wano - a było nas około 1,5 tysiąca.-Dobór był jak w wojsku: pierwsza kategoria zdrowia, wiek od 19 do 35 lat. Popłynęliśmy statkiem "Sowietskaja Łatwija" . Skierowano nas nie na Kolumię, a na Czukotkę, bo tam jeszcze nikogo nie było i potrzebowali tam ludzi. Przed nami odpłynął na Czukotkę jeden transport statkiem "Orzeł", ale do Pewego, ale my do Zaliwa Kręsta /Zatoka Krzyża/. Myśmy byli zamknięci w ładowniach, ale na morzu Japońskim wszyscy szli na Laperuza /?/, obok wysp Kurylskich, dalej po prawej stronie zostały wyspy Komandorskie, Kamczatka i morze Beringa. Potem wpłynęliśmy do zatoki Krzyża. Ta nazwa Zaliw Kriesta nie ma nic wspólnego z symbolem

chrześcijaństwa - krzyżem, po prostu zatoka ma kształt krzyża. Jej nazwa jest stara, nie wiem, kto był odkrywcą tej zatoki. Byłem tam 4 lata, do 1951 roku. Wtedy była to kraina nie osiedlona, taka pustynia polarna. Nie było nawet nazwy geograficznej tej miejscowości. Ta zatoka była znana, ale nikt tam nie mieszkał. O tym oczywiście nie wiedzieliśmy. Mowiliśmy, ludzie tam żyją, to może i my jakoś będziemy żyli. Jeśli chodzi o ~~czukocki okręg~~ ^{samą} Czukotkę, to jest to czukocki okręg narodowościowy, ma obszar dwukrotnie większy, niż Polska - 700 tysięcy km². W tym czasie mieszkało tam około 10 tysięcy czukozów, tubylców. Osady można było wtedy policzyć na palcach jednej ręki. Były one rozmieszczone na wybrzeżach - na wybrzeżu od strony północnej, to znaczy na morzu Czukockim i od wschodniej strony - nad morzem Beringa. W środku półwyspu nad rzeką Anadyr może i były osady, ale w tym miejscu, gdzie myśmy wylądowali, nie było żadnej osady. Osada powstała dopiero w 1948 roku. Tę osadę nazwano Ek weki not, ci w języku czukozów oznacza Biała Góra.

wstawka
i dalej
ze str 49

Przypłynęliśmy nocą do zatoki, zaczął się rozładunek. Oczywiście żadnej przystani tam nie było. Była dość duża polana wzdłuż zatoki na odległości około trzech km i wgląd lądu około kilometra, a dalej były góry. Był to koniec lipca, więc śniegu wtedy jeszcze nie było.

Płynęliśmy około 20 dni. W czasie wojny z Japonią w 1945 roku te morskie tereny, szczególnie kąd wysp Kurylskich, które należały do Japonii, napewno były zaminowane, a do tego czasu, t.j. do 1947 r. nie wstystko było rozminowane. W czasie podróży dawali nam suchary, raz dziennie dawali zupę. Leżeliśmy na piętrowych pryczach, niektórzy chorowali - morska choroba. Ja byłem odporny na tę chorobę, ale niektórzy, ci bardziej

wystarczy
na 12. 48
 wycieńczeni, to przez cały czas leżeli. Wogóle po tej podróży przyjechaliśmy wszyscy bardzo wycieńczeni. Na końcu zaczęło brakować wody. Wogóle w czasie podróży dawali wodę do picia, ale z wodą do mycia nie było dobrze, było jej mało. W ostatnich dniach podróży chyba wogóle zaczęło brakować wody i do picia dawali nam wodę całkiem brązową od rdzy ze zbiorników metalowych. Ale dobiliśmy jakoś. Wszyscy byli bardzo spragnieni.

Na wodę został opuszczony kuter. Po drabince - trapie spuszcza-
 liśmy się do łodzi takich ogromnych, które przywieźliśmy ze
 sobą na pokładzie statku. Jak mówiłem, byliśmy bardzo sprag-
 nieni i niektórzy, choć wiedzieli, że woda jest słona, ale
 zaczęli ją pić. A trzeba powiedzieć, że morze Beringa, morze
 Czukockie mają bardzo wysoki stopień zasolenia wody, poza
 tym woda ta jest gorzka aż od tej soli. Wysadzili nas na
 brzeg i zaczął się rozładunek statku. Przecież trzeba było
 przywieźć ze sobą cały sprzęt, żywność. Statek "Sowietskaja
 Łatwija" był 10-tysięcznikiem, myśmy byli w górnych ładow-
 niach, a dolne były załadowane tym całym ładunkiem. Przywieź-
 liśmy ze sobą dwa domy składane, oczywiście nie dla siebie.
 Jeden dom był przeznaczony dla urzędu "Czukotstroja" - tak
 nazywało się to przedsiębiorstwo, który był częścią składową
 "Dalstroju", a "Dalstroj" podlegał Ministerstwu Spraw Wewnę-
 trznych - wszystko NKWD. Drugi dom przeznaczony był dla
 straży.

Teren Czukotki był bardzo kamienisty. Jakie miałem pierwsze
 wrażenia? Ja urodziłem się na wileńszczyźnie wśród lasów,
 rzek, pagórków, bujnej roślinności i byłem zaszokowany, gdy

zobaczyłem skalistą pustynię, żadnej roślinności, góry. Byliśmy bardzo spragnieni. Było ze mną dwóch Rosjan - Woroncow Kola z Moskwy, geolog i drugi - Sewastianow Kola, drobny złodziejaszek. Wodę z morza nie można było pić. Więc Kola Woroncow, jako geolog trochę znał się na tych sprawach, powiedział, że tu musi gdzieś być woda. w górach. Przy wyładunku był straszny bałagan, nikt nie polnował nikogo. Poszliśmy szukać wody. Doszliśmy do gór i rzeczywiście zobaczyliśmy strumyk, źródło sącące się z pod skały. Napiliśmy się i postanowiliśmy trochę posiedzieć. Kola Sewastianow powiedział, że pójdzie i zobaczy, czy można tam czymkolwiek się pożywić. Wrócił po godzinie i przyniósł karton wojskowych sucharów japońskich. Zjedliśmy trochę tych sucharów i grzejemy się na słońcu. Mieliśmy jeszcze z Nachodka wojskowe japońskie kożuszki. Futro powleczone materiałem typu brezentu - ładnym błyszczącym i nieprzemakalnym. Położyliśmy się spać, przenocowaliśmy noc. Powoli zaczęli organizować tam obóz, brygady, sprawdzać wszystkich. Pewno takich amatorów wolności było więcej. Zaczęli nas szukać i znaleźli. [↓] Dobrze, że wszystko dobrze się skończyło, nic nam nie zrobili. W innym przypadku mogli za to nawet rozstrzelać. Z tym, że skierowano nas do karnej brygady za samowolne odłączenie się. Mogli oddać pod sąd, były takie przypadki. Jeśli kogoś sądzili za ucieczkę, to do wyroku dodawali lat. Na przykład, jeśli ktoś miał do odsiedzenia 10 lat i po kilku latach próbował ucieczki, a jego złapali, to z powrotem dostawał 10 lat. W tej karnej brygadzie byli sami rzezimieszki - złodzieje, bandyci, recydywiści, którzy przez całe życie siedzieli w obozach. Skerowano nas na budowę łaźni. Budowlanych było

Wstawka
ze str. 51

około 1,5 tysiąca, a my jako pomocnicy nosiliśmy kamienie.

*no
ju 50*

Początkowo obóz został założony w tym że miejscu, gdzie przybiliśmy do brzegu. Plac ogrodziliśmy drutem dookoła, wokół stali strażnicy. Na tym placu znajdowali się ludzie, spali tam że, kto na czym miał. Było jeszcze lato, choć czukockie lato nie można przyrównać do naszego. Temperatura w lecie ok. 10°.

Kamienie nosiliśmy w rękach i murarze budowali łaźnię. Byliśmy tam tydzień albo dwa, ~~i zaraz jako karna brygada przystąpiliśmy do roboty.~~

Zadaniem było przeprowadzenie drogi z miejsca wylądowania

przez góry, pas tundry, znów góry

na drugą stronę półwyspu - ponad 200 km. Na drugiej stronie półwyspu jest miejscowość Imczyn /?/. Ta miejscowość znana była jeszcze sprzed wojny i tam też był obóz z więźniymi chyba jeszcze z okresu wojny i tam oni wydobywali wolfram i rudę cynku, była tam kopalnia. W latach 30-tych był tam amerykańnik. ~~z wolframem w beczkach~~ Później stała tam nawet barka od północnej strony półwyspu. Mówili, że to Amerykanie chcieli wywieźć, ale albo nie zdołali albo nie zdążyli. Być może to nie była prawda.

~~musieliśmy torować drogę dalej.~~ Pierwsza placówka została założona na 5-m kilometrze. Nazw miejscowości jeszcze nie było, tylko nazwy kilometrów. Tam zatrzymaliśmy się. Mieliśmy brezentowe namioty, więc część z nas robiła konstrukcje szkieletowe, a część od razu do roboty. - do usypania drogi. Zresztą trudno to było nazwać drogą, po prostu twarda nawierzchnia posypana żwiłem, żeby było równo i mógł przejechać samochód - ok. 3 metrów szerokości.

Działy się tam niesamowite rzeczy. Zaczęła się ̄ rzeź. Ci bandyci - urki zaczęli się zabijać nawzajem. Złodzieje tworzyli

taki klan, mieli swoje zasady, prawo, robili zebrania podobno partyjnej organizacji i w charakterze jakby sekretarza był u nich starszy złodziej. ^{Robili} ~~Riki~~ zebrania - schodki, mówili żargonem nie zrozumiałym dla wszystkich. Mieli swoje zasady. Na przykład nie wolno im było wykonywać żadnych prac dla obozu, jak budować ogrodzenia. obóz. Mogli pracować jako fryzjerzy czy jeszcze coś robić, ale nie pracować dla obozu. Ten, kto przekroczył tę zasadę, nazywał się suka i oni zabijali się nawzajem. Później doszło do tego, że już nie było złodziei, tylko sami suki zostali. Takiemu złodziejowi nie wolno było również uderzać w gong, na dźwięk którego była pobudka, wyprowadzali do pracy itp. Jeśli złodziej opierał się przed wykonaniem jakiejś pracy, zmuszano go. W karnej brygadzie byłem tylko ja, politycznych tam prawie nie było.

Byliśmy na tej placówce około miesiąca. Ruszyliśmy dalej jako czołówka. Jeden punkt już był ^{obsadzony}. Trafiliśmy na 32-ty kilometr. Ta placówka znajdowała się 1200 m pod ziemią. Tymczasem przyszła zima. Warunki były niesamowite. Nie mieliśmy tam ani piekarni, ani łaźni. Piekarnię zaczęto budować, coż tam piekli, ale nie był to chleb. Przed wyjściem do roboty przynosili jakieś ciasto, dawali po kawałku. Mieszkaliśmy w dalszym ciągu pod namiotami. ^(w palatkach) Przede wszystkim zaczęto budować szkielet drewniany z drewna, które przywieźliśmy ze sobą, bo na Czukotce nie ma drewna. Szkielet ten obciążany był brezentem i stopniowo ocieplany korą, darniną, zimą śniegiem zasypywali. Jeśli były możliwości, to później obijali od wewnątrz deskami. Jak mogli, tak ocieplali. Część ludzi szła do pracy, a część zostawała w tym budynku. (Jeśli chodzi o

i dalej
ze str. 53

Mieliśmy rękawice, ale starszemu ich nie udzieli. Niektórzy mieli skórs kawałki brezentu, to byli sobie jeszcze brezentowe rękawice. Wtedy

na
str. 52

już można było wytrzymać. Ten, kto nie
miał pskawic, miał strasznie
podmrażane ręce.

53.

pracę, to trzeba było wykonywać normę - zdaje się 4 m³ materiału wysypanego na drogę dziennie. Sypało się i wyrównywało kilofem tłuczeń /oczywiście w tym okresie, kiedy jeszcze nie był on zamarznięty/ wytworzony przez naturę.

Mieliśmy trzy racje żywnościowe - pierwszy, drugi i trzeci kocioł. Najwyższą stawkę - trzeci kocioł - otrzymywało się, gdy wyrobiono 120 procent normy. Dawali wtedy kilogram chleba lub - jeśli nie było chleba - kaszę gotowaną z mąki, t.zw. zacierówę. Z biegiem czasu warunki poprawiały się, potem chleb dawali już normalny. Drugi kocioł dostawało się też w przypadku wyrobienia normy ponad 100 procent. Poniżej stu procent normy - to był kocioł pierwszy - 700 g chleba.

Wszyscy dostawali dwa razy dziennie zupę - rano i wieczorem i herbatę. Herbata - to była zabarwiona ciecz, czasem na przykład skórką od chleba. Słodzona była w ten sposób, że sypało się do kotła cukier i mieszało wlewo, a cukier szedł wprawo.

Nastała zima, powietrze mgliste, wilgotne, opaku nie było. Ludzie zaczęli chorować, umierać. Niektórych odsyłano, bo podobno na 13 kilometrze był jakiś szpital.

Nasza karna brygada zawsze w czołówce, musiała iść na przodzie udeptywać drogę. Byliśmy tam chyba do listopada. Ponieważ nie było już możliwości przebywać tam bez jedzenia i opaku, zdjęli nas stamtąd.

Od 14-go do 24-go kilometra szliśmy stamtąd pieszo, potem wiźli nas. Nie było tam żadnych warunków higienicznych. Póki było ciepło trochę myliśmy się, bo woda była tylko źródłana. Potem nie myliśmy się, światła nie było, poza blaszanką napełnioną olejem napędowym z kawałkiem szmaty, który się

palili. Byliśmy zakopceni i osmoleni. Naczelnik obozu zastana-
 wiał się, jakby umyć ludzi. Ale wody nie było. Więc każdy
 musiał kombinować we własnym zakresie. Nawet wyznaczono
 nagrodę za umycie się - chyba 10 gramów machorki, a była
 to bardzo ważna rzecz. Ja nie paliłem, to i ~~my~~ nie myłem się,
 bo jakie to mycie. Ale dla palaczy to była bardzo ważna rzecz.
 Myli się śniegiem, ale bez mydła, rozmazywali tylko brud.
 Była nawet kontrola, która oceniała, jak kto się umył, czy
 jest czysty, czy nie. W namiocie, gdzie była urządzona niby
 stołówka, tam przeprowadzali kontrolę. Umyć trzeba było tylko
 twarz. Gdy przychodził na tę komisję ktoś brudny, to dostawał
 jeszcze bicie. Nie wiem więc, czy ktpś tam dostał tę machorkę.
 W końcu zabrali nas stamtąd. Byłem cztery zimy na Czukotce
 i nie pamiętam, żeby ktoś przesiedział tam przez całą zimę,
 nie było takiej możliwości. Lato tam krótkie. Jesienią mgły,
 deszcze, a zimą straszne zamiecie, burze /t,zw, purga/ z
 wiatrem. Życie konwojentów tam też było nie do pozazdroszcze-
 nia. Mieli oni lepsze wyżywienie i ubranie - walonki, kożuchy.
 Nasze japońskie kożuszki nam zabrano i wydano nam cienutkie
 cluzy - gimnastiorki, spodnie-waciaki i kurtki-waciaki.
 Jeszcze dostaliśmy japońską bieliznę.
 Konwojentów było niedużo - dwóch-trzech. Był to stary konwój
 kołymski, ludzie-zwierzęta. Oni mogli swobodnie zabić. Później
 konwojenci byli trochę lepsi, a już na końcu ^w 1950-1951 latach
 byli żołnierze, ^{z NKWD} którzy też lepiej się zachowywali.
 Wróciliśmy na wybrzeże. ~~Znaleźliśmy tam baraki - półziemianki
 z kamienia i z drewna.~~

już można było wytrzymać. Ten, kto nie miał rękawic,
mieli strasznie podrażniane ręce.

55.

Początkowo mieszkaliśmy w namiotach pierwszej zimy, które ocieplano kto jak mógł, na przykład obsypywano ziemią, darnią. śniegiem, dopiero potem przeniesiono nas do ziemianek. Przyszliśmy więc z powrotem, dano nam trochę odpoczynku, bo nie byliśmy zdolni do niczego, załadowano nas do wagoniku zbudowanego z desek i na płozach. Wagonik ciągnął traktor. W tundrze był to jedynie możliwy środek lokomocji. Załadowano tam całą naszą brygadę /właściwie nie całą, bo niektórzy pomrozili się/.

Jeśli chodzi o tych złodziei, to oni dzielili się tylko między sobą. To społeczeństwo dzieliło się na dwie kategorie - złodzieje i frajerzy. Z frajerem można robić to, co się podoba. W obozach i więzieniach zajmowali się ono grabieżą, (grali w karty, a pracowali bardzo mało, gdy ich zmuszano. W pierwszym okresie oni trzymali się głównie ze sobą, a potem, gdy stali się sukami, to starali się dostać jakąś funkcję - brygadzysty porządkowego, czy pracownika administracji.

Niektórzy, w tym Kola Woroncow załamał się psychicznie i gdy mógł, leżał cały czas na pryczy. Jak wyglądała pościel? Były dwie surowe skóry renifera, Na jednej się kładło, a drugą przykrywało. Więc Woroncow leżał i nie chciał wstać, ja pobudzałem go do życia, jak mogłem. Mieliśmy piec zrobiony z beczki po benzynie, przy którym można było niekiedy się ogrzać. Ja miałem też futro od kożuska, który zabrano. Z tego futra uszyłem skarpetki, nawet trzy pary i jedną dałem Koli. To mnie ratowało, bo na nogach miałem szmaciaki

podszyte gumą. Zresztą załamania psychiczne było bardzo dużo, samookaleczenia były na porządku dziennym, obrabrywali sobie ręce. Ale za to też byli karani jako za sabotaż. W 1949 r. była już cała brygada t, zw. samorubów - samookaleczonych. W obozie było nawet takie powiedzenie: w obozie na stu 99 płacze, a jeden się śmieje.

Wrabając do wagoniku. Zawieźli nas nim do miejscowości Ta miejscowość już miała nazwę. Tam mieliśmy przeprowadzić drogę, ale drogi w tym czasie jeszcze nie było. Tam że została zlikwidowana karna brygada, staliśmy się już normalną brygadą.

Było tam dwa obozy: górny i dolny. W górnym obozie była kopalnia, a ja trafiałem do dolnego obozu. Wykonywaliśmy tam różne prace pomocnicze, jak przygotowywanie terenu. Prócz tego, że były tam sztolnie, wydobycie rudy odbywało się metodą odkrywkową. Przed nami w tej kopalni pracowali ci więźniowie, ale było ich tam bardzo mało.

Jak opowiadali, w 1942 r. był tam bunt więźniów, którzy opanowali Rozbroili wartowników. Nie wiem, jakie mieli zamiary, czy uciec do Stanów Zjednoczonych przez Alaskę czy jeszcze coś. Zdobyli oni broń, ale nie zdążyli przechwycić radiostacji i ktoś nadał radiogram - na przykład centralna Szmida była tam radiostacja zapolarna - do Magadanu czy gdzieś jeszcze. Przyleciał samolot, wysadzili desant, zlikwidowali ten bunt. Była tam karczma. Ci, którzy kierowali tym buntem schronili się w karczmie i bronili się tam. Gdy ja tam byłem, te karczmy leżały już jeszcze łuski. Wstępnym buntowników rozstrzelali. Innym w obozie dali po 10 lat.

Dlatego zostało bardzo mało tam więźniów. Ja właściwie nie stykałem się z nimi. Dopiero, gdy zabrano nas z na 1-szy kilometr, to z nami jechał na zwolnienie jeden taki i był lekarz, Ukrainiec - Czerewożyk, niezbyt przyzwoity człowiek, z dodatkowym 10-letnim wyrokiem, Przebyliśmy tam jakiś czas. Na początku ten obóz był trochę lepszy, ale potem nie było już co jeść, zjedliśmy wszystkie produkty, suchary, potem zaczęliśmy jeść owies, który prażyliśmy na piecyku i jedli. Podobno oni porozumiewali się z centralnym pierwszym obozem - oczywiście ~~z~~ za pomocą łączności radiowej. Były trzy radiostacje i trzy były obozy. Poza tym porozumiewali się za pośrednictwem gońców. Centrala nie reagowała i nic nam nie dowozili. Był luty-marzec. Do pracy nie chodziliśmy, leżeliśmy na pryczach w chłodzie. Był tam taki bojowy facet, ale i dobry dowódca straży, podoficer. Przychodził on do baraków i budził nas, ściągając z prycz, żebyśmy się ruszali. Pozwolono było piłować słupy od ogrodzenia, więc on sam pomagał piłować, bo niektórzy nawet nie byli w stanie tego robić - tak byli wycieńczeni. Pytamy go, co z nami będzie. On powiedział: jest jeszcze jeden środek i ja go zastosuję. Co on zrobił? Połączył się bezpośrednio przez radiostacje z Moskwą, choć nie miał prawa tego robić. Ale na drugi czy trzeci dzień zjawił się samolot i na spadochronach dostarczono worki z chlebem-skrzynki z masłem, konserwy. Było tego bardzo dużo, bo jeszcze po kilku latach znajdowano w górach jedzenie. Chleb był wprawdzie zmarznięty, ale wszyscy byli tak głodni, że pałaszowali ten zmarznięty ~~z~~ chleb. Później terenowe ^{ymi} samochody ^{ami} amerykańskimi przywieźli prowiant.

Mimo wszystko wszyscy bali bardzo wycieńczeni. Posegregowano nas i przewieziono na 1-szy kilometr do centralnego obozu.

Było trzy obozy: na 1-szym kilometrze pierwszy, na ⁸⁵ 88-m
 drugi i ^{Imczy} w. Imczy.... trzeci.

Znów odpoczynek, do pracy nie chodziliśmy. Był już marzec. W neutralnym obozie była już kuchnia, chleb wypiekali. W tej osadzie było trochę wolnych, prominenci wszyscy byli, więc życie wyglądało tam inaczej. Poza tym wybudowali tam szpital, lekarz był, bardzo fajny facet.

Potem po odpoczynku sformowali brygady, chyba trzy, i skierowali nas do pracy na 14-ty kilometr. Największa zima tam w marcu, gdy najwięcej śniegu. Tam były jako tako sklecone baraki, to znaczy takie same namioty, ale wewnątrz miały ściany, ale mimo tego, gdy położyło się spać, to włosy przy-
 Była kuchnia, i była lekarska
 marzały do, bo padał śnieg na człowieka. ~~Tam ożyliśmy~~
 drogę

c.d. na str. 61

W czasie zimy i głodu byli tam przypadki kanibalizmu. Sam nie byłem tego świadkiem, ale słyszałem, że w jednym takim przypadku prowadzili dochodzenie i byli wyroki, m.in. jeden polak był w to zamieszany, nie znałem jego osobiście. Zabójstw nie było, tylko w jednym przypadku, ^{w tej że osadzie Imczy} gdy ktoś zmarł, wyciągnęli jego z niby kostnicy, która tam była, ~~Podobno nawet~~ poćwiartowali. Podobno nawet nakarmili tym ~~hakana~~ piekarza. Ponieważ do mięsa potrzebowało chleba, przynieśli mięso piekarzowi i poprosili o chleb, tłumacząc, że mięso to dostali od czukczów. Jak to wykryli? Kierowca jechał samochodem i zobaczył, że ktoś z tych sprawców niesie coś na plecach /a była to ~~podobno~~ odrąbana połówka tego trupa, której nie zdołali zjeść/, zainteresował się tym i w ten sposób sprawa została wykryta. Nie wiem dokładnie na ile zostali skazani ci ludzie, ale conajmniej na 10 lat, a może i na 25,

bo w tym czasie, od 1947 roku sypali wyroki, wyszedł dekret o zwiększeniu kar do 25 lat. Wmieszano w to było trzy osoby. Wiem też o drugim podobnym przypadku. Był pożar magazynu chyba z materiałami budowlanymi. W tym magazynie był człowiek. Magazyn się spalił. Po ugaszeniu pożaru, człowieka nie znaleziono i też podejrzewano kanibalizm. Trzeci przypadek - to była ucieczka. Znałem dwóch ludzi - jednego Rosjanina i drugiego - Ukraińca, banderowca. Oni uciekli z obozu. PO jakimś czasie jednego przyprowadzili czukczę. Był nim Kozłow, bardzo wycieńczony. W czasie dochodzenia zapytali go, gdzie drugi? On odpowiedział: a ja jego zjadłem. Zaczęli szukać, ale nie znaleźli. Tereny tam takie, że znaleźć i tak było trudno znaleźć. Być może to nie była prawda, ale sądzę, że jednak Kozłow mówił prawdę.

Jeśli ktoś uciekł z obozu, to musiał być dostarczony do tego samego obozu żywy lub martwy. Znam taki jeden przypadek. Był rok 1949. Moja brygada rozpoczęła budowę elektrowni. Było to w osadzie Oziorny /?/, z tym że jeszcze wtedy ta osada nie miała nazwy, był to 13-ty kilometr. W mojej brygadzie było trzech wojskowych, którzy służyli w wojsku na Czukotce, i jeden czukczę. Siedzieli za jakieś proste przestępstwa. Oni uciekli z tej budowy. Po kilku dniach tych Rosjan sprowadzono i zabito. Położyli ich przy bramie, przy wartowni, leżeli tam przez dzień czy dwa i chodząc do pracy i z pracy każdy mógł ich widzieć. Robiono to tak, żeby przekonać pozostałych więźniów, że ucieczka jest niemożliwa. Potem przyprowadzili czukczę żywego. Dołożyli mu wyroku do 10-ciu lat i dalej był w obozie.

Zanim człowiek dochodził do całkowitego wycieńczenia występowało zjawisko t.zw. szakalizmu - ludzie rzucali się na wszystko, co nadawało się do jedzenia, na odpadki. Byłem świadkiem gotowania kożucha. Był Dochodziagi zbierali się wokół piecyka i sam widziałem, jak wkładali do blaszanki kawałek kożucha, wsypywali tam sól, wlewali wodę i gotowali ten kożuch. Ludzie robili wszystko, aby zaspokoić głód. Niektórzy dostawali zupę ze stołówki, przynosiki, wlewali też do blaszanki, nasypywali jeszcze soli, siadali koło piecyka i tak siedzieli mieszając tę zupę bez końca.

W każdym razie biorąc pod uwagę tak ciężką pracę i okrutne warunki klimatyczne, jedzenia było zbyt mało. W Centralnej Syberii czy na terenie Rosji europejskiej rosną różne rośliny, które można używać jako dodatkowy pokarm czy witaminy. Natomiast tam nie takiego białego było. Najczęściej dostawaliśmy chleb /lub gdy chleba nie było - zacieruchę z mąki lub suchary/, kaszę przeważnie z owsianki, mięso z konserwy. Była tam miejscowa zwierzyna, na którą polowali czasem NKWD-iści. Raz, było to w 1950-tym roku, zabili tam niedźwiedzia. Wzięli nas szczęście, żeby pomóc tego niedźwiedzia przytaszczyć. Zrobiliśmy prowizoryczne sanie z drewna i przyciągnęliśmy niedźwiedzia. Przede wszystkim ~~obciągnęliśmy~~ trzeba odciąć łapy niedźwiedzia, bo to jest największy przysmak. Ale Rosjanie nie wiedzieli o tym. Poprosiliśmy, to dali nam te łapy, dali też po kawałku niedźwiedziny. W tym czasie już w zasadzie nie byliśmy głodni, ale zjedliśmy to. Dostaliśmy też tłuszczu tróchę. Niedźwiedzi tłuszcz jest rzadki jak miód.

Później kombinowaliśmy trochę, łowiliśmy rybę w górskich

potokach, wpadających bezpośrednio do morza. W okresie letnim, w czerwcu jest okres tarła łososi. Wogóle to kraina łososi. Tam wylawia się trochę inny gatunek łososi: garbuszę i kietę. Tarło garbuszy jest w czerwcu, a kiety - we wrześniu. W tym czasie łowiło się rybę, natomiast najgorzej było w okresie zimy. Wogóle łowiectwem człowiek mógł zajmować się wtedy, gdy już miał trochę siły i miał ochotę do życia. Wogóle w obozie najbardziej dokuczaly ciężka praca, chłód i aczkolwiek niemałe ilości, ale całkiem bezwartościowego jedzenia.

Pracowaliśmy tam przy rozcyszczeniu drogi, bo były trudności z dowozem produktów i innych materiałów, narzędzi do wszystkich punktów rozrzuconych na odcinku 200-kilometrowym, gdzie już wszędzie powstały obozy. Droga była przeprowadzona już od 14-go do 30-go kilometra, a być może i dalej. Czyściliśmy tę drogę, a właściwie taki ubity pas ziemi, żeby można było dojeżdżać do pozostałych punktów. Ale jakie to było czyszczenie, był marzec, t.j. nagłębsza zima. Tak się złożyło, że przez tydzień pogoda była znośna, więc pracowaliśmy, ale potem przychodziła purga - burza śnieżna i to, co rozczyściliśmy - nawet niekiedy do 12 m, wszystko się wyrównywało. Nie było możliwości czyszczenia drogi przy takiej zamieci. Były tam amerykańskie - bardzo dobre maszyny do oczyszczania od śniegu, ale nie na ten czukocki śnieg. Wskutek dużego wiatru ten śnieg był jakby od razu sprasowany, twardy. i mogły go rozbić tylko silne oczyszczarki śkimakowe.

na Czukotkę
Myśmy przypłynęliśmy statkiem w lipcu, a następny statek przypłynął we wrześniu z dwoma tysiącami ludzi, więc było nas

na str. 58

tam ponad 3,5 tysiąca osób. W drugim transporcie było bardzo mało Polaków. Wogóle Polacy byli rozrzućeni po różnych obozach i oczywiście żadnej łączności tam nie było. i przez kilka lat nawet nie stykałem się z Polakami.

Z podobozami łączność była tylko przez gońców. Gońcami byli więźniowie z krótkimi wyrokami, niepolityczni oczywiście, którzy mieli przepustki. Polityczni przepustek nie dostawali. Mogła być wydana tylko jednorazowa przepustka. W niektórych obozach na wartowni była lista z wykazem osób, które miały prawo wychodzić poza teren obozu w sprawach służbowych głównie. Zresztą niektóre podobozy nie były wcale strzeżone - pod tym względem na Czukotce była swoboda. Natomiast trzy główne obozy były ogrodzone drutami, wokół stały wieże strażnicze, tymczasowych zaś obozów nawet nie każdy był ogrodzony. Te obozy ~~budow~~ zakładano w miarę potrzeby - gdy kończyło się układanie jakiegoś odcinka drogi, obóz się likwidowało,

Na 14-m kilometrze byliśmy do maja, a może nawet do czerwca. Tam też warunki nie były nieciekawe. Pewnego dnia przyjechała tam jakaś ^{młoda osoba} niewiasta, lekarz, nie wiem skąd - z Moskwy czy z Magadanu. Badala ona wszystkich więźniów i zakwalifikowała pół obozu do inwalidów, m.in. i ja trafiłem do tej grupy. Inwalidzi mieli tylko cztery godziny pracy, przy czym lżejszej. Ale trwało to zaledwie kilka dni. Ona wyjechała, przyjechał lekarz z drugiego obozu lekarz Czerewczuk, przeprowadził nową komisję, wybrał kilku słabszych, a resztę zagonił z powrotem do roboty.

Nastąpił czerwiec. Znów etap - przedtym komisja- dochodząców zostawiono na miejscu. Po drodze na 75-tym kilometrze prze-

nocowaliśmy i poszliśmy na 94 kilometr. Tam też nic nie było. Był jeden domek z desek - tak. zw. fiński domek, trochę większy od wagonu. Wpakowano tam dwie brygady, około 100 osób. W tym obozie nie było ani łaźni, ani piekarni, ale było lato i z 85-go kilometru przywozili chleb, a strawę gotowali na miejscu w takiej prowizorycznej kuchni. Później zbudowali tam piekarnię i łaźnię.

Był wśród nas niejaki Sorokajew, góral kaukaski, polityczny, bardzo przyzwoity człowiek, student. Spotkałem tam jednego Polaka Władka Kietlinka, którego później nigdzie nie spotykałem. Jeszcze przedtem spotkałem dwóch Polaków: Kisielowski z Grodna i Bujak- z Lubelszczyzny. Ich też więcej nie spotkałem. Widziałem ich ostatni raz będąc na 14-m kilometrze, ich tam też przewzili z centralnego obozu, do czyszczenia śniegu. Wtedy przy okazji dostałem kolbę. Gdy przechodziliśmy, ich brygada stała z boku, zauważyłem Bujaka, zaczęłem z nim rozmawiać, wtedy konwojent uderzył mnie kolbą.

Jeśli chodzi o higienę, a właściwie jej brak. W obozach właściwie wszy nie było dużo - po-pierwsze chłody, nie sprzyjające ich rozmnożaniu się, po-drugie byliśmy za bardzo wycieńczeni. Ale gdzie-niegdzie wszy pojawiały się. Poza tym przy zakładaniu obozu budowali łaźnię z prażarką, gdzie oddawało się ubrania do prażenia w wysokiej temperaturze. Pluskiew w pierwszym okresie nie było, przez dwie zimy, ale ostatnio już w 1951 roku to już masa pluskiew była. Pewnie ktoś przywiózł z jakimiś meblami, gratami. W Imczynie[?] były pluskwy, chyba potem ~~im~~ zostały przewiezione.

Trzeba powiedzieć, że śnieżyce pomagały w utrzymaniu higieny. Przy takiej fali śniegu, która idzie z dużą prędkością - ponad 20 m/s, twarz człowieka przy zetknięciu się z falą zostaje umyta. Ręce można było umyć śniegiem. Tam, gdzie były łaźnie, dawano każdemu po miaręczce wody /w okresie zimy - ze śniegu, więc trzeba było dużo pracy włożyć, aby nazbierać tyle śniegu/ do umycia się. Łaźnie odbywały się co 10 dni i mając nawet małą kosteczkę mydła można było umyć się.

Dotarliśmy na 94-ty kilometr. To była już tundra. Był początek lata, ~~zielenie~~ czerwiec, zieleń, bardzo ładnie wokół. Nawet rosła tam jakaś kosodrzewina, drzewo ~~jakieś~~ w rodzaju wierzby. Można było to wycinać i razem z liśćmi palić.

Posłano mnie tam do brygady, która budowała łaźnię z kamienia. Pomagałem tam przy budowie, nosiłem kamienie, robiłem zapawę, a była tam glina & bardzo rzadkospotykana na Czukotce - rzadka, trochę ze żwirem. Łaźnia miała oczywiście prażarkę, do grzania były dwie beczki wody, palenisko. Wodę brało się ze strumienia, który płynął niedaleko obok. Zostawili mnie pracować w tej łaźni. Początkowo był ze mną jeden Mongoł, a może Uzbek. Później zabrali go, bo zostawili tam tylko jedną brygadę - druga brygada poszła na 105-ty kilometr. Zostałem sam w tej łaźni, która znajdowała się w odległości około 500 m od obozu, i byłem tam sam, nikt mnie nie pilnował. Warunki były tam trochę lepsze, niż gdzie indziej - zawsze do łaźni przychodził na przykład piekarz umyć się i przynosił kawałek chleba, dawali lepszą bieliznę. Oczywiście musiałem prać bieliznę - i to ręcznie - dla wszystkich

więźniów. Musiałem też prać bieliznę straży więziennej.

Tam dawali czasem i nową bieliznę: dostali kucharz, piekarz, ja też.

Pracowałem w łaźni do jesieni.

Łaźnia wyglądała w ten sposób: Pomieszczenie z betonową podłogą, ławki, piec. Myło się w szaflikach.

Przyszła jesień. Zaczęło się likwidowanie obozu. Zostało tam kilka osób do robót porządkowych. Resztę wysłano na 85-ty kilometr. Początkowo szliśmy pieszo, potem dopiero pojawiły się jakieś samochody. Samochody były odkryte i w czasie jazdy marziliśmy. Dopiero po śmierci Stalina w 1953 r. zaczęli przewozić więźniów ~~z~~ krytymi samochodami.

Przybyliśmy znów na 1-szy kilometr, ~~raz~~ podzielili nas na brygady. Trafiłem do brygady, brygadzystą której był Saszka /nazwiska nie pamiętam/ z Leningradu. Chodziliśmy do pracy do portu, bo w porcie akurat stał statek, na rozładunek. Był to statek transportowy. Ponieważ port jeszcze nie był ukończony, najpierw ładunek wyładowywano do barek, a później na kuter. Tę drogą morską przywożono wszystko: poza żywnością i materiałami budowlanymi - przywożono i samochody i traktory i sprzęt, i kształtowniki stalowe. W Budująca się elekrownia miała służyć w tym czasie całej Czukotce, oświetleniu wszystkich trzech osad, kopalni, pomocniczych zakładów.

Był taki jeden przypadek. Przyszedł ktoś z biura, gdzie prowadzili ewidencję towarów i kazał mnie iść do biura, mówiąc, że będę tam pracować. Okazało się, że w tym biurze nie mieli żadnej służby do sprzątania, przenoszenia papierów i tp. Najpierw uporządkowałem tam pomieszczenie. Pytają, czy potrafię ugotować ziemiaki, które akurat rozładowywano.

Stała skrzynka ziemniaków. Zaraz oczyściłem ziemniaki, rondel tam jakiś był. Nagotowałem ziemniaki na piecu, z solą. Oni pojedli, ja też jadłem. Patrzę stoi skrzynka z konserwami. Skrzynka była uszkodzona, a uszkodzone skrzynki odstawiali i spisywali. Więc mówię, że przecież tu są konserwy, a my jemy ziemniaki na sucho. Zgodzili się i powiedzieli, że mogę wziąć tę uszkodzoną skrzynkę, to ja gotowałem już ziemniaki - oczywiście każdego dnia - na pół z konserwą. Oni jedli i ja jadłem to. Poza tym posyłali mnie do zarządu odnosić papiery, faktury, a także dawali ~~papiern~~ pieniądze, żeby kupować im papierosy, więc wchodziłem do sklepu i kupowałem papierosy. Gdy przynosiłem papierosy, to mnie też częstowano. Choć ja nie paliłem wtedy, ale papirosa brałem, bo to było wtedy na wagę złota.

Trwało to dwa-trzy tygodnie. Skończył się rozładunek. Naszą i jeszcze z trzy brygady przerzucają na lotnisko, po drugiej stronie zatoki. Wybudowany tam był pas. Pojechaliśmy tam. Pracowaliśmy na lotnisku. Początkowo wysypywaliśmy pas startowy, później wydobywaliśmy piasek. Tam ~~na~~ na brzegu był piękny, drobnoziarnisty, morską piasek. Miał niespotykany kolor - zielony, niebieski.

Na tym lotnisku byłem do końca 1948 r. i jeszcze do lipca 1949 r. W pewnym okresie trafiłem tam do pracy w piekarni. W jaki sposób? Pracowaliśmy akurat na nocnej zmianie. Ładowaliśmy samochody z piaskiem, który był odwpżony do osady, w odległości tylko 7 km, po drugiej stronie zatoki. Leżymy sobie na pryczach po nocnej zmianie, przychodzi ~~piekarz~~ piekarz z kierownikiem gospodarczym - t.zw. zawchoz. Pytają, czy

nie ma wśród nas piekarzy. Ja dla żartu powiedziałem, że ja jestem piekarzem. Oni zainteresowali się. Chciałem najpierw wycpać się z tego, ale taki jeden Rosjanin mówi do mnie: czemu się wycofujesz? Pytaj, gdzie ja pracowałem. Powiedziałem, że byłem uczniem piekarskim. Zapisali ~~to~~^{nazwisko}. Potem przyszedł "nariadczyk" - dyspozytor w kierowni^a więźniów do pracy i powiedział, żebym poszedł do fryzjera, ostrzygł się, ogolił i poszedł do piekarni. Jak tu wybrnąć z tej sytuacji? Przyszedłem do piekarni. Nie ma piekarni. To było poza obozem. Był tam taki Walka z Moskwy. Prawdziwy piekarz, nie tylko piekarz, ale i cukiernik, wypiekał do sklepu i do stołówki wyroby cukiernicze. Mówię od razu: nie bardzo znam się na tym. Tem objechał mnie matem i powiedział: ja tak i wiedziałem. Ale mnie piekarz nie potrzebny, bo ja sam jestem piekarzem. Potrzeba było przywozić wodę z pobliskiego jeziora, węgiel, ze składu, który był na miejscu i iczywiście mąkę z magazynu, a pośa tym pomagać jemu przy wypieku. Maszyn tam piekarnicznych nie było, wszystko robiło się ręcznie. Było tam pomieszczenie nieduże. Po środku stał piec piekarski. Myśmy nawet tam mieszkali. Więc wyżywienie już było, oprócz chleba robiło się makaron, coś jeszcze, więc można było żyć.

Byłem tam przez jakiś czas, miesiąc, może więcej. Wtedy była zima, przełom 1948/49 roku. D^odarzył się taki wypadek. W czasie burzy śnieżnej. zamieci przyszli po chleb z obozu więźniowie: ten, kto wydawał chleb, t.zw. chleborież - Polak Kozakiewicz, przystojny chłopak, i dwóch więźniów, co nieśli taką skrzynię z rączkami. Była straszna zamieć, wcześniej

rano, bo śniadanie było między 6 a 7, więc to była bardzo wczesna godzina i było ciemno. Ta dwójka dobrnęła jakoś do obozu, wprawdzie na bramę nie trafili, tylko na pogródzenie. A ten Kozakiewicz nie doszedł. Nie wiem, jak to się stało. Gdy ci doszli do obozu, powiedzieli, że nie ma trzeciego. Zrobili alarm, pobudkę, dla wszystkich ogłosili, bo to była niedziela i do pracy ludzie nie szli /oczywiście to się zdarzało bardzo rzadko, żeby w niedzielę nie pracować/, zaczęli bić w gong, wygonili wszystkich z obozu na poszukiwanie go. Wszyscy albo trzymali się za ręce albo szli w bliskiej odległości, żeby się nie zgubić w tej zamieci. Przeszliśmy takim łańcuchem aż do morza, nigdzie go nie było. Chodzić było bardzo trudno, wiatr zwał z nóg. Baliśmy się, żeby samym nie pogubić się, więc konwojeńcy zawrócili z powrotem i powiedzieli, że już nie ma co szukać, nie ma sensu. Do tego jeszcze toczyliśmy na górkę beczkę z olejem napędowym, gdzie była stacja meteorologiczna. ~~xzapaxiii~~ przy lotnisku. Zapalili tam pochodnię, ale przy takiej zamieci i tak niewiele było widać. Wróciliśmy z powrotem do obozu. Zginął, koniec. Była to niedziela. W poniedziałek wiało, też nie wyszliśmy do roboty. Oczywiście dotyczy to brygad, bo ja w tym czasie byłem i pracowałem w piekarni. Dopiero we wtorek, gdy wszystko ucichło, rano ludzie wyszli do pracy i zauważyli, że wzdłuż zatoki ktoś idzie i pada, pomyśleli oczywiście, że to on, Kozakiewicz. Jęde skoczył tam, przynieśli go. Z tego wynika, że poszedł on w odwrotnym kierunku i chodził tak wzdłuż zatoki. Ponieważ chłop był młody, silny, więc został przy życiu. Ale

niestety nogi miał odmrożone, bo nie miał walców, tylko buty. Przeniesiono go do namiotu, gdzie składowano narzędzia do wykopywania piasku, przyszedł lekarz, posmarował chyba spirytusem. Potem odwieźli go do szpitala - na Czukotce. Amputowali mu tam nogi. Inwalidów tam nie trzymano. Wysyłali ich do Magadanu czy jeszcze gdzieś. Po pierwszej zimie odesłano ok. 500 osób jako inwalidów. W ciągu czterech lat, gdy tam byłem, z ogólnej liczby osób, przywiezionych na Czukotkę przez dwa transporty, jeśli policzyć tych, co zmarli, co zaginęli, zostali przewiezieni w głąb kraju jako inwalidzi to z tego pierwszego statku "Sowietskaja Łatwija", którym przyłynęliśmy na Czukotkę jako pierwsi, zostało bardzo mało osób i prawie wszyscy z nich byli funkcyjni, bo każdy już zdobył jakieś doświadczenie i wkręcił się gdzieś. Takich już szanowali, nazywali ich Po prostu udało im się przeżyć ten okres. Na ogólnych robotach mało było takich. W tym okresie, kiedy mnie zwolniono, mało było osób z pierwszego etapu. Potem ja byłem chleborezem aż do 5 lipca. Tę datę zapamiętałem bo 5 lipca myśmy szli po lodzie, jeszcze lód był na zatoce. Przyjechał samochód ciężarowy, zabrał jakieś graty. Parę osób została dla zabezpieczenia obozu, Samochód jechał, szliśmy za samochodem 7 km. Był to lipiec 1949 roku. Przyszliśmy do 1-go obozu i wtedy nas przerzucono na 13-ty kilometr, t.zn. nie przerzucono, tylko dojeżdżaliśmy tam do pracy, gdzie zaczęli budować elektrownię.

Kiedy byliśmy ^{jeszcze} na 14-m kilometrze, było to w maju. 9 maja ponad 10 osób zmarło. W czasie pracy przechwyciła zamieć. Dowożono nas samochodami. Oprócz tego dowożono ludzi z 1-go kilometru, bo chcieli przebić tę drogę.

p. Jachiewicz - c.d. relacji

Wszyscy narzekali, że nas rozdzielano. Kto był na pierwszym samochodzie, wyskoczył, zaczęliśmy odkopywać - nic to nie pomogło. Był tam bardzo dobry kierowca, który powiedział: "Samochodów radziacka władza nie ma, ratujcie się, jak możecie". Byli tam też konwojenci. Wszyscy ~~zszli~~^{wy} z samochodów i pobiegli do obozu. Na zakręcie była duża zaspą, a dalej droga była gładziutka. Byliśmy już przemundurowani w letnie ubrania bo już był maj 1948 r. Przybiegłem do obozu, brama była otwarta. Ci z pierwszego kilometru też schronili się tam, na 14-m kilometrze. Wtedy właśnie ponad 10 osób zostało odciętych, z naszego obozu tylko jeden. Jego brygadista ^{podobno} ciągnął z pomocnikiem, on zasłabł i dobili jego. Reszta pozamarzała, nie wiem, co z nimi tam było, może byli zbyt zmęczeni i usiedli - a to już był koniec.

W zwykłych łagrach byli przeważnie ^{byndyci} złodzieje, szuje. Byli oczywiście ~~z~~ porządni ludzie, nawet ci, co siedzieli za przestępstwa pospolite, było dużo wojskowych, chłopów - różnych narodowości. Z tymi ludźmi właściwie nie rozmawiałem. Oczywiście ~~z~~ z kolegami rozmawialiśmy p Polsce, ale wogóle starałem się jak najmniej rozmawiać. Zresztą ci, co kończyli odsiadywać wyrok, mogli coś takiego powiedzieć, za co przedłużyliby im wyrok, Takie przypadki też były. Inaczej sprawa wyglądała w spec-łagrach, gdzie siedzieli ludzie ~~z~~ za przestępstwa polityczne, ~~większy~~ ~~wielu~~ ~~wykształconu~~ ~~wielu~~ wiele osób było wykształconych. W łagrach przebywali ludzie z różnych republik radzieckich, a poza tym byli tam Chińczycy, Manżurowie, Polacy, i inni. W okolicach Władywostoku mieszkali Chińczycy, którzy zostali tam po rewolucji. Spotkałem Chińczyków nawet na Czukotce. *Porędyne byli tam Francuzi,*

Hiszpanie, którzy trafili do Rosji o objęciu władzy przez generała Franko. Było dużo Niemców, - tych rodowitych, którzy byli jeńcami w czasie wojny, oraz nadwołżańskich. Był nawet jeden Niemiec z Wermachtu. Tym różnił się od innych więźniów, że był bardzo porządnie ubrany, wszystkie guziki zawsze miał przyszyte. Jego chyba zabrali stamtąd w 1948 r., kiedy zabierali wszystkich Niemców. Wogóle Niemcy wyróżniali się pracowitością i uczciwością, chyba że byli zdemoralizowani z dzieciństwa.

Po powrocie z lotniska, które budowaliśmy, skierowano nas do pracy na 13-ty kilometr - na budowę elektrowni. Zaczęliśmy tę budowę od początku. Początkowo dowożono nas samochodami, przez 2 miesiące - od lipca do września. We wrześniu całkowicie przerzucono nas już do stałego obozu, który zorganizowano na 13-m kilometrze. Na początku ta osada nie miała nazwy geograficznej i dopiero w następnym, 1950 roku nadano jej nazwę Orzel... , ponieważ znajdowała między jeziorami i było jedno jezioro, o tej właśnie nazwie, które miało bezpośrednie połączenie z zatoką. W pierwszym okresie na 13-m kilometrze mieszkaliśmy też pod namiotem. Potem wybudowano dwa baraki już z kamienia i zdaje się w październiku przeniesiono nas do tych baraków. Nie było tam ani piekarni, ani łaźni. Do łaźni początkowo wozili nas ^(razem na kilka tygodni) do pierwszego obozu. Potem łaźnię też wybudowano, przyczym była to dobra, parowa łaźnia, jakiej na Czukotce jeszcze nie było. Budowali oczywiście więźniowie. Naczelnikiem obozu był niejaki starszyna Wołkow, /oczywiście NKWD-zista, był poprzednio naczelnikiem obozu na 32-m kilometrze/. Był to wręcz okrutny człowiek. Gdy został u nas naczelnikiem obozu, to wszyscy - znając jego - obawiali się, że mogą nastąpić dla więźniów ciężkie czasy.

Tymczasem okazał się zupełnie innym człowiekiem, bardzo gospodarnym, grzecznym dla więźniów. Stał się on inicjatorem wybudowania łaźni, bo pojawiły się wszy. Wybudowano więc łaźnię, piekarnię.

W czasie budowy elektrowni prace techniczne nadzorowali najpierw jakiś technicy z bożej łaski, a potem od 1950 r. kierowali ^{mieli} też więźniowie, ale już bardzo ^{il} zdolni inżynierowie z Leningradu, skazały na 25 lat z art. 58 pkt 1 - ~~przez~~ wroga propaganda, sabotaż i tp. Początkowo był skazany na 5 lat, ale w czasie rozprawy sądowej zwiększyli wyrok do 25 lat.

Na rozprawie on zapytał, dlaczego. Odpowiedzieli mu, - dlatego, że jesteś z Leningradu. W ~~okresie~~ końcu lat 40-tych w Leningradzie była straszna czystka w partii. Kierownikiem budowy był wolny, partyjny oczywiście, o nazwisku Dworak. Nie wiem, czy był technikiem, ale nie była to znacząca osoba. Byli tam i inni technicy. Wolnych było niewiele w pierwszym okresie budowy elektrowni. Była tam kilka rodzin specjalnie ~~przewo-~~znych z Kołymy - do montażu agregatów. Oni mieszkali w tej samej osadzie. ~~W każdym razie, dopóki~~ W każdym razie, dopóki prowadzono roboty wstępne, wykopy, wolnych tam nie było oprócz kierownika budowy. Oczywiście nie licząc też straży. Poza tym istniała jeszcze t.zw. "samoochrona" - ochrona własna. Rekrutowała się ona z więźniów z krótkim wyrokiem, byłych wojskowych, ^{byłych} milicjantów i pracowników NKWD, którzy za jakiś przestępstwa ~~trafili do obozu~~ ^{trafili do obozu} ~~nie byli umundurowani~~ ^{mieli}. Oni mieszkali razem w wolnych, ~~nie~~ takie same umundurowanie, ale ~~nie byli umundurowani~~, nie nosili żadnych wojskowych odznak. Byli oni niekiedy gorsi od zwykłych strażników, bo chcieli przysłużyć się.

Przy budowie elektrowni nie miałem żadnej stałej funkcji, bo w obozach nikt ~~mi~~ z więźniów nie mógł mieć stałej funkcji, chyba że był wybitnym fachowcem. Zresztą nawet wybitni fachowcy byli niekiedy przetrzucani do roboty w kopalni. Miałem tu jednego z rodziny, dobrego krawca, który cały wyrok, poza dwoma tygodniami przepracował w kopalni. Przy większych obozach byli pełnomocnicy NKWD, którzy szperali i badali, kto znajduje się w obozie. Mój krewny był więźniem politycznym, a było takie rozporządzenie, że żaden więzień polityczny nie może pracować np. w biurze, lecz musi być zatrudniony przy ciężkich pracach. Więc jego właśnie wyszedł pełnomocnik NKWD, gdy on pracował jako krawiec, i skierował do kopalni. Gdy pełnomocnik NKWD wyjechał z tego obozu, prawdopodobnie do innego, to mój krewny poszedł do naczelnika obozu i poprosił, żeby jego z powrotem skierowali do poprzedniej pracy w charakterze krawca. Tak też się stało. W obozie chętnie trzymali takiego krawca, który bezpłatnie szył dla "prominentów" obozowych.

Budowaliśmy więc elektrownię. W następnym, 1950 roku przypłynął kolejny statek z więźniami /pierwsze dwa statki przywiozły ^{więźniów} albo w 47 r. ~~47-miu~~, w 1938 r. jeden statek "Wołchowstroj" przywiózł chyba ponad 1000 osób, w 49 r. nie było statków / przywożąc chyba około 2500 tysięcy więźniów. jako uzupełnienie, bo do tego czasu część osób z krótkimi wyrokami zdążyła już wyjść z obozów, niektórzy zginęli lub umarli /?/. W tym transporcie nie było politycznych, bo w międzyczasie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi stały się napięte. Było tam też paru Polaków.

[W 1948 r. zostały ~~zakazane~~ utworzone obozy specjalne na Kołymie, a u nas na ^{pod nazwę} Czukołce takie obozy nazywały się Bierłag.

Każdy z obozów miał inną nazwę. Np. Na Czukotce nazywały się Czukotłag. Nazwy pochodziły albo od nazwy prowincji, miast, np. Karagandiński obóz, na Workucie - Workutłag i td.

Nie wiem, dlaczego na Kołymie obozy te nazwano Bierłag - bie-regowej łagier /nadbrzeźby/, może związane to było z Morzem Ochockim. Wtedy właśnie następowało oddzielenie politycznych od innych więźniów.

Więc w 1950 r. kontynuowano budowę elektrowni. Warunki wtedy trochę się poprawiły. Było to wywołano tym, że po rozdzieleniu obozów i oddzieleniu politycznych, gdy powstały tzw. ITŁ - "Isprawitielno-Trudowyje Łagieria" / "Poprawcze Obozy Pracy" /- przeszły one na rozrachunek gospodarczy. Wówczas przedsiębiorstwo płaciło obozom za pracę, a obóz płacił więźniom, więc zaczęliśmy dostawać pieniądze. Wprawdzie więźniowie ~~musi~~ mieli o 30% niższe stawki. Na początku zarobki były marne, dopiero w 1950 r. poprawiła się. Praca była akordowa - zarabiałem wtedy od 900 do 1500 rubli /były to jeszcze stare pieniądze/. Dostawałem na rękę znacznie mniej - ~~wy~~liczano ^{od} za wyżywienie, za ubranie, na administrację i inne sprawy związane z obozem, podatek od wynagrodzeń, tak jak w przypadku wolnych, nie pamiętam - ok. 13-14 %. Poza tym musieliśmy płacić na pożyczkę państwową. Z pensji zostawało w ten sposób nie więcej, niż 200 rubli. Jeśli zostawało więcej, to odkładało się to na konto, bo każdy miał swoje konto. Z tego konta można było jeszcze raz w miesiącu wziąć 200 rubli /t.zw. wypiska/. wychodziło z tego już 400 rubli. Ponieważ na Czukotce nie było nic, oprócz kamieni, nawet rybę dowożono, a na terenie obozu pojawiły się kioski, w których można było kupić jakieś produkty.

W takim kiosku można było kupować nawet na kredyt. Jeden taki kiosk prowadził niejki diadzia Wasia, który tym, co już nie mieli pieniędzy, dawał produkty na kredyt zapisując dług do książki. Przy wypłacie dług uiszczano się. My prowadziliśmy gospodarstwo we czwórkę, każdy dawał do wspólnej kasy po 200 rubli, a jeśli nie starczało, to robiliśmy "wypiskę" z konta. Właściwie wtedy na Czukotce już nie brakowało chleba, dokupywało się np. cukier., paperosy. Pod względem wyżywienia można było wytrzymać. Ubranie nam wydawali, a jeśli ktoś nie chciał brać ubrania, czy np. prześcieradła /oprócz prześcieradeł nic innego z pościeli nie było, poduszek nie mieliśmy, jeśli ktoś miał, to z waty/, to nie wyliczali za to z pensji, ~~jeśli ktoś był chory~~ ale gdy się pracowało. Jeśli ktoś był chory i nie mógł pracować, a ~~zwyknie~~ ^{łobuz jego żywił} ~~zwyknie~~, to potem wychodził taki z obozu będąc dłużnikiem. Nie wiem, czy była tam jakaś solidarność, czy z tych ludzi ściągali potem ubranie. Jeśli więc zarobiło się ok. 1000 rubli, to było dość.

Jeśzce była jedna pozycja, za którą potrącano z pensji - był to twz. "fond oswobodzenia", czyli fundusz na zwolnienie z obozu - 15 %, żeby więzień wychodząc z obozu miał pieniądze.

Pracowałem w tym obozie cały czas w jednej brygadzie, aż do czerwca 1951 roku. Początkowo byłem zatrudniony przy robotach ziemnych, budowlanych, betoniarskich, zbrojarskich, a potem nasza brygada przeszła na montaż. Było to ~~nie~~ ciężka praca - oczywiście fachowcy wyższej klasy mieli lżejszą pracę. Będąc na 13-m kilometrze docierali do nas wiadomości. Był ^{tam} też mną przez pewien okres Zygmunt Ocioszyński, żona którego była w Magadanie /żona żyje dotychczas, mieszka obecnie w .../. Więc on otrzymywał od żony listy. Później żona napisała, że

tworzą się obozy specjalne w Magadanie, zabrali ją tam i później korespondencja urwała się. Po przybyciu na Czukotkę przez rok-półtora nie otrzymywałem żadnej korespondencji, bo tam początkowo nie było nawet poczty, innego transportu, ni~~z~~morski i lotniczy, też nie było. Nawigacja trwała od lipca do października /wyjątkowo - do listopada w ostatniej fazie pobytu - już za pomocą lodołamacza/. Więc początkowo nawet nie pisałem do kraju, bo nie było sensu. Później pisałem listy, które szły około roku. Pracując na lotnisku, znałem te sprawy: niekiedy przez dwa-trzy miesiące nie było tam samolotu - nie pozwalały warunki atmosferyczne. Lotnisko w okresie zimy nie było oczyszczane, dopiero w maju, gdy śnieg zaczynał ~~zaxax~~ topnieć, śnieg wymiatali przy pomocy walcowania - po prostu do dwóch linek przywiązywali kłoc drzewa i gąsienicowym. ciągnęli to po pasie startowym traktorem. Początkowo, gdy przyjechaliśmy, traktory były amerykańskie, potem już radzieckie. Tak więc z korespondencją było dość trudno. Po pewnym czasie jednak zawiadomiłem rodzinę, nawet otrzymałem później paczkę. Paczka szła około półtora roku, więc nic z niej nie skorzystałem, wszystko się zmarnowało. Zresztą, gdy ta paczka dotarła do mnie w 1949 r., już nie była mnie potrzebna, bo wtedy wyżywienie już było lepsze. Potem jedna ^{na} paczkę /?/ zatrzymali. Napisałem wtedy do rodziny, żeby nic mnie nie przysyłali. W 1951 r. już po zwolnieniu z obozu otrzymałem z domu opłatek, który był wysłany ~~w 1948 r.~~ chyba w listopadzie 1950 r. Oczywiście wszystkie listy i przesyłki były przeglądane przez cenzorów.

W 1951 r. zaczęli budować na Czukotce normalne baraki. Wybudowali dwa wspaniałe baraki, zaczęły się szerzyć słuchy, że

to będzie obóz specjalny. Tymczasem może plany się zmieniły, bo zrobili tam tzw. ZUR - Zona usilennego ⁱ reżimu, czyli strefa wzmocnionego rygoru. albo "sztrafnaja zona". Kierowano do tej strefy za różne przestępstwa obozowe i recydywę - różnych bandziorów, także sądzonych z art. 58 paragraf 14 - sabotaż. Z tego paragrafu często sądzili za ucieczkę z obozu.

Na jesieni 1950 r. zaczęły się pogłoski /szczególnie wśród tych, którzy pracowali w biurze Czukotłagu i coś szłyszeli na ten temat/, że nas, politycznych mają wywieźć na Kołymę. Pewnego dnia jesienią 1950 r. zdjęli ~~wszystkie rzeczy~~ część politycznych więźniów z roboty, załadowali do ciężarówek. Zresztą zwozili politycznych z wszystkich obozów. Z przedsiębiorstw budowlanych zabrali np. najlepszych fachowców. Potrzymali nas z dwa tygodni /gdzieś i przywieźli z powrotem.

Mnie nie bardzo chciało się gdzieś wyjeżdżać, bo liczyłem na to i z "zacotów" ^z tak wynikało, że na początku 1951 roku, może w lutym powinienem wyjść na wolność. Wyszedłem ~~wskazywano~~ dopiero w czerwcu 1951 r. ze względu na to, że przez dwa tygodni byłem wywieziony. Mało tego w końcu października znów zebraли nas i wywieźli po raz drugi. Nie wiem, dlaczego nie zabrano nas drugim statkiem. Może statek nie był przygotowany do przewozu ludzi - trzeba było zrobić na nim różne zabezpieczenia, rozprowadzić wodę na całym statku, choćby w celu ugaszenia ~~zapach~~ ewentualnych namiętności ludzi, czy jakiegoś buntu. Tak było zarówno za pierwszym, jak i drugim razem - potrzymali nas i znów zawieźli z powrotem. Za drugim razem byliśmy już całkiem przygotowani, ale nie zabrał nas statek. Nawet posłali nas do łaźni, gdzie zaczęły się problemy z długimi /tzn. o normalnej długości/ włosami. ~~Długie włosy~~ Noszenie długich

nie wozymien
tych dat!

włosów było zakazane w obozie, za to wsadzali do karceru. Wszyscy chcieli mieć dłuższe włosy, bo to świadczyło o w miarę normalnym wyglądzie człowieka. Ja też miałem długie włosy. Gdy zaprowadzili nas do łaźni strażnik od razu powiedział mi, że muszę obciąć włosy, ja się sprzeciwiłem i powiedziałem, że niedługo pojedę do Magadanu, to muszę mieć dłuższe włosy. On za to zagroził, że nie da mi wody. A trzeba wiedzieć, że nie było tam ani kranów, ani nic podobnego - po prostu stała beczka z wodą, a woda była wydzielana. I nie dał mi wody. Ja natomiast nie pozwoliłem obciąć włosów. Zresztą za parę dni odwołali ten wyjazd, i zabrali nas z powrotem do obozu. Więc raz dwa tygodni, drugi raz, to moje "zaczoty" zliczyły się. Później przyszedł grudzień i niesamowite zamiecie, nie pracowaliśmy chyba ze dwa tygodni - to też. Nie wychodziliśmy wogóle - chodziliśmy po korytarzach z zamalowanymi oknami. Od 1950 r. nie pracowałem już na montażu, byłem funkcyjnym pracownikiem - zajmowałem się zaopatrzeniem, utrzymaniem porządku, pilnowałem zmiany pościeli i tp. Nasza brygada nawet nie chodziła jeść do stołówki, przynosiliśmy jedzenie do baraku. Byliśmy ^e pierwszą brygadą, która zaczęła tę budowę, więc cieszyliśmy się pewnym poważaniem u naczelnika. W stołówce była zazwyczaj duża kolejka. Przynosząc jedzenie do baraku, zjadaliśmy prędko i w ten sposób mieliśmy trochę czasu, żeby odpocząć przed pracą. Starzy więźniowie mało korzystali ze stołówki. Obiad to jeszcze brali - jakąś lepszą zupę, którą gotowali, to co było - tłuszcz czy konserwy - kucharz zawsze coś lepszego dawał. Na śniadanie mało kto chodził. Natomiast ci, co przyjechali w ostatnich transportach, nie mieli jeszcze pieniędzy, to wszystko jedli, a my sami gotowaliśmy sobie.

Prowadziliśmy - jak mówiłem - gospodarstwo we czwórkę. W nasze grupie był Ukrainiec, Niemiec, Rosjanin i ja - taka międzynarodowa grupa. & Tak wygodniej było gospodarzyć. Kiedy pracowałem jeszcze w brygadzie na obiekcie, to każdy po kolei przygotowywał posiłki. Później już było więcej czasu, to głównie ja przygotowywałem.

Wracając do włosów, które nie pozwoliłem obciąć, później musiałem obciąć przed samym wyjściem na wolność. Była inspekcja, przyjechał naczelnik Czukotłagu, major ^{Sierp /?/}, ~~bardzo miły człowiek~~ ~~nie~~ dość możliwy człowiek, dużo tam poprawił, bo w pierwszym okresie tę funkcję pełnił kapitan - takie wredne stworzenie. Mówił: "Słońce wysoko, a Moskwa daleko. Będę robił tutaj, to, co ja zechcę". Wtedy bardzo dużo ludzi zginęło w tym czasie. Nie troszczył się nie tylko o wyżywienie - były wtedy normy i trudno było coś zmienić - tylko mógą przypilnować, żeby przynajmniej nie kradli, to, co było. Najgorzej było ze sprawami bytowymi. Najlepszy okres w Czukotłagu był wtedy, gdy naczelnikiem był Ukrainien, starszyna Butenko. O miał taką ambicję, żeby obóz był najlepszym. Tam jeszcze zdarzały się różne ~~takie~~ przypadki, bo ten Butenko, choć jemu podlegały wszystkie obozy, nie mógł ^{iego} ~~wszystko~~ ~~do~~ ~~patrzy~~ doglądać. Pamiętam, gdy pracowałem jeszcze na lotnisku, to tam zdarzało się, że brygadziści nie dawali jeść tym, kto nie wykonał normy. Dochodziło do tego, że ludzie uciekali z jednego obozu do drugiego. Przychodzili do naczelnika i prosili, aby przenieśli ich do innego obozu. Naczelnik zazwyczaj zgadzał się i nikt więcej nie miał wtedy nic do powiedzenia. Takie ucieczki zdarzały się niekiedy każdego wieczoru.

Choć praca była ciężka, wyżywienie było możliwe, "zaczoty"

też były, więc ludzie pracowali. "Zaczoty" zostały wprowadzone w "Dalstroju" w 1948 r., ale to nie dawało żadnych efektów: ludzie byli wycieńczeni, głodni. Dopiero, gdy zaczęli płacić za pracę pieniądze, wtedy warunki się polepszyły.

/stosunki między więźniami/

W okresie czteroletniego pobytu w obozie w warunkach rozdzielania kobiet i mężczyzn zdarzała się różne przypadki dewiacji zarpwno wśród kobiet, jak i mężczyzn. Działo się to głównie w środowisku złodziei. Wiem, że homoseksualizm był. Nie słyszałem, żeby za to były jakieś kary.

Bliział się moment wyjścia na wolność. trochę byłem zdenerwowany, bo nie wiedziałem, jak będzie się żyło na wolności. Już zdążyłem przyzwyczaić się do życia obozowego, znałem wszystkie warunki, a tu nagle zaczyna się nowe życie, a poza tym, gdy trafiłem do więzienia, miałem 18 lat i nigdy przed tym nie pracowałem normalnie, tylko trochę w czasie okupacji, gdy trzeba było. Nie wiedziałem, jak to będzie na tej wolności. Od maja oczekiwałem zwolnienia z obozu każdego dnia. Mieliśmy połączenie telefoniczne z ... i stamtąd zawsze telefonowali i informowali, kto idzie na zwolnienie. Z nami za przegródką mieszkał jeden chłopak, który często chodził do biura, więc pytaliśmy go za każdym razem, gdy wracał, czy nie było jakieś informacji telefonicznej o zwolnionych, i tak z dnia na dzień. Aż pewnego dnia wychodzę z baraku, a do mnie zwraca się niejaki Iwan Iwanowicz /to chyba nie było jegoimię, bo to był Koreańczyk, taki rosyjski Koreańczyk/ i mówi: "Gratuluje obywatelowi!". Zaraz przyszedł nadzorca i powiedział, że jestem zwolniony.

z obozem

Wpadłem w popłoch - przecież trzeba pożegnać się, ale czym? Tam zamiast alkoholu i kawy parzyli bardzo mocną herbatę, która nazywała się "Gzyfer" /?/, którą zaparzało się w mniejszym naczyniu całą paczkę. Nie było tej herbaty, ale była kawa - naturalna kawa. Naparzyłem i napiłem się tej kawy, że nie spałem całą noc. Rano poszedłem jeszcze do swoich, pożegnać się.

p. str.10

Wracając do włosów - Kiedy inspekcję przeprowadzał major, wszedł do baraku. Był obowiązek składania meldunku, więc złożyłem mu meldunek, a on powiada: "Dlaczego ~~masz~~ takie długie włosy?" Zwracał się oczywiście nie do mnie, tylko do naczelnika podobozu. Tamten, chcąc jakoś uratować sytuację, odpowiedział, że ~~pan~~ udzielił mi na to zezwolenie. Wtedy naczelnik powiedział, że nie może być żadnych zezwoleń w obozie, a gdy wyjdę na wolność, będę mógł nawet warkocze sobie zaplatać. W ten ~~sposób~~ sposób poszedłem do fryzjera i musiałem ściąć włosy. [Następnego dnia przyszedł sam naczelnik podobozu odprowadził mnie do oddziału specjalnego /zresztą sam miał tam jakąś sprawę do załatwienia/, gdzie prowadzono sprawy zwolnień. Rozliczyłem się z obozem, jeszcze przenocowałem tam i następnego dnia odprowadzono mnie do urzędu Czukotłaga, który znajdował się poza obozem. Spodziewałem się, że mnie nie wydadzą zaświadczenia o zwolnieniu, bo tym, których zostawiano na zsyłkę, takich zaświadczeń nie wydawano. Takie zaświadczenia wydawano tylko tym, którzy mieli prawo do wyjazdu. Spodziewałem się, że to nastąpi, bo już poprzednio wiedziałem o takich przypadkach. Zsyłka wtedy była bezterminowa. Oprócz mnie było tam jeszcze kilka osób. Kazali mnie coś podpisać - nawet nie wiem, co podpisywałem, chyba jakiś papier

dotyczący zwolnienia z obozu. Napewno nie podpisywałem niczego, co dotyczyło zdrady tajemnicy, nikt tego nie podpisywał

Wiem o tym napewno, bo zresztą gdy jeszcze siedziałem w więzieniu trafiłem na kawałek okładki jakiś akt personalnych /bo przecież każdy więzień miał swoje akta personalne/ i właśnie na okładce tych akt od strony wewnętrznej było widać, że napewno nie podpisywał, ale wogóle wiem, że coś takiego istniało.

Z Czukotłagu zaprowadzono nas do zarządu Czukotstroju - przedsiębiorstwa, które zajmowało się budownictwem na Czukotce, i rano skierowano mnie /innych chyba też/ do pracy aż na 100 czy 130-ty kilometr na tej trasie, która prowadziła Dali więc skierowanie do pracy, a poza tym - żadnych dokumentów. Znając Czukotkę, wiedziałem, co to tam za praca, prawdopodobnie roboty drogowe. Pomyślałem, że będę coś poszukiwał na miejscu. Trzeba było przede wszystkim gdzieś zamieszkać. Miałem znajomych, którzy wcześniej wyszli z obozu, m.in. był tam Polak - Marian ... , bardzo fajny kolega, który pochodził z wileńszczyzny. Nie był on politycznym, zwolnili jego przed czasem. Tam jeszcze przeprowadzano tak zw. kolonizację, ale dotyczyło to tylko pospolitych więźniów /przestępców - pospolitaków ?/. Jeśli zwalniali wcześniej, to trzeba było podpisywać zobowiązanie, że po wypuszczeniu, już jako wolny przepracuje w Dalstroju tyle czasu, ile brakuje do zakończenia wyroku. Można było przemieszczać się np. z Czukotki do Magadanu i do drugich miejsc, byleby pracować w Dalstroju.

Poszedłem do tego kolegi do pracy i zapytałem, czy można tam zatrzymać się u niego. Powiedział, że mieszkają w sześciu w

małym pokoiku. Był to okres przed nawigacją. Koniec nawigacji następuje na Czukotce w październiku - na początku listopada, a później, aż do lipca nie ma nawigacji, wtedy latają tylko samoloty transportowe, bo pasażerskie samoloty jeszcze wtedy nie przylatywały. Ci, co tam pracowali, mieszkali różnie - w baraczkach, namiotach, które później przekształcono w baraki. Mój kolega mieszkał w budynku piętrowym, który też już tam był. Zobaczyłem nieduży pokoik, w którym mieszkało sześć osób. On powiedział mi, że jest im bardzo ciasno, więc gdybym znalazł sobie jakieś miejsce, to dobrze, a jeśli nie, to jakoś mnie przytulą. Poszedłem do innego miejsca i okazało się, że tam jeszcze gorsza sytuacja - mieszkało ośmiu w jednym pokoju. Jeden znajomy powiedział mi: "Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym dwa dni wcześniej, wtedy przyjęlibyśmy ciebie, ale wczoraj dwóch przyszło i teraz jest nas ośmiu". Pokoik był małą kliteczką, gdzie spali i na podłodze.

Wróciłem więc do Mariana i poprosiłem, żeby mnie jednak przyjęli. Zgodził się. Tam spali po dwie osoby na łóżku. Ponieważ Marian spał sam - przyjął mnie do swojego łóżka.

Za tydzień przyszedł jeszcze jeden nasz kolega, z którym przez kilka lat siedzieliśmy w jednym obozie. Nie można było nie przyjąć go. Na jednym łóżku trudno było spać we trzech, to skombinowaliśmy jakąś deskę, którą na noc zakładaliśmy na łóżko, a na dzień zdejmowaliśmy - i tak spaliśmy we troje.

Trudniej było z pracą. Jak już mówiłem - nawigacji nie było od października do lipca. Dużo ludzi zwalniali z obozów i wszyscy chcieli dostać się na ten 1-szy kilometr, bo tam przynajmniej było parę domków pobudowane, była stołówka z alkoholem /dawali tylko raz w tygodniu/, ^{kino było} piwem - słowem był

to już bardziej cywilizowany ośrodek. Było tam dużo ludzi, a pracy nie było.

Choć dostałem skierowanie na 100 któryś kilometr, wiedziałem, jakie tam mogą panować warunki i nie pojechałem tam. Tutaj natomiast długo nie mogłem dostać pracy. Jeden kolega podpowiedział mi, żebym poszedł do oddziału "Kołymnabu". Była to instytucja zajmująca się zaopatrzeniem. Mówił, że potrzebują tam ludzi ze znajomością języka rosyjskiego. ~~Przyjęli mnie.~~ Pracowała tam Polka z Moskwy jako kierowniczk^o kadr - Jadwiga Trietiakowa. Powiedzieli mi, żebym poszedł do niej, bo ona przyjmuje do pracy, a jeśli nie przyjmie, to przynajmniej doradzi. Poszedłem do niej. (Wogóle zakłady ^{byłych} bardzo chętnie przyjmowali do pracy politycznych, bo wiedziały, że to będą dobrzy pracownicy.) Zapytała mnie, czy mam wyjazd i powiedziała, że przyjmie mnie do pracy w porcie, ale ponieważ był to czerwiec, to statki przypłyną dopiero w lipcu. Muszę złożyć podanie i życiorys i będzie wszystko w porządku - powiedziała. Skoro nie mam prawa na wyjazd i muszę tu pracować, to trzeba poczekać do zimy, zanim sporo osób nie wyjedzie, a potem dostanę pierwszorzędną pracę. Zacząłem mówić, co mam zrobić ze skierowaniem, które dostałem. Ona odpowiedziała, że to drobiazg, trzeba pójść do Czukotstroju i poprosić, żeby wypisali mnie inne skierowanie ze względu na to, że mam tutaj zapewnioną pracę, a jeśli nie zechcą wypisać, to ona załatwi to sama. I tak się stało. Kazano mi zgłosić się do pracy po paru tygodniach, kiedy zaczną pływać statki. Zgłosiłem się po paru tygodniach i dostałem zaświadczenie, że pracuje, nadal nie miałem żadnych innych dokumentów.

Więc pracowaliśmy w tym porcie mniej więcej do 20 października, albo do końca października. Ja pracowałem przy rozładunku statków.

W połowie października wzywali wszystkich tych, którzy byli bez prawa wyjazdu, do specjalnego oddziału Czukot ...

i tam powiadomiono nas, że my mamy wyjechać. W międzyczasie przyjechała na Czukotkę milicja - poprzednio tam nie było milicji. Zaczęli wtedy wydawać paszporty /a to była przecież strefa graniczna/. Powiedziano nam, że pojedziemy do Magadanu.

W końcu października znowu przysłali do oddziału Kołymnabu zawiadomienie o naszym zwolnieniu. Brygadę naszą rozwiązano.

Zarobki tam były dość dobre, zarabiałem ok. 3-4 tysięcy rubli, te pieniądze były potrzebne, bo trzeba było jakieś ubranie

kupić i inne rzeczy. Później wzywano nas do działu kadr i po-

złatwić sprawę wiedzieli, że musimy ~~pożegnać się~~ z zakładem i z całym Cz-

i zebrać odpowiednie podpisy kotstrojem. Myśmy nie przejęli tego. Powiedzieliśmy, że jeśli

nas wywożą ~~musimy wyjechać~~, to po co mamy zbierać podpisy.

Więc oni jakoś sami to załatwili.

Potem przypłynął statek z więźniami, przywieźli transport

2-2,5 tysiące więźniów i chyba 9 listopada powiadomiono nas,

że w następnym dniu trzeba zebrać się w porcie, bo popłyniemy

tym statkiem. Nie wiedzieliśmy, ile dni potrwa podróż, czy

trzeba i ile zabrać ze sobą prowiantu. Powiedzieli nam w

Czukotkłanie /?/, że prowiantu można nie zabierać ze sobą, bo

na statku będzie bufet. Był to statek "Mińsk" handlowy, przy-

srosowany do przewozu ludzi.

9 czy 10 listopada zebraliśmy się w porcie. ~~Wypierw~~ Zebrali

tam wszystkich więźniów, którzy jeszcze byli w obozie - poli-

tycznych i recydywistów. Ich załadowali na statek w pierwszej

kolejności w dolnej ładowni. Gdy tylko ~~prz~~ przyszliśmy do por-

*a byli skiero-
wani do spec-
jalnego t. j. obozu
specjalnego*

tu, otoczyła nas eskorta - przecież byliśmy zesłańcami. Ja na przykład nie wiedziałem, że jestem zesłańcem, ale niektórzy, wcześniej zwolnieni, wiedzieli o takim obowiązku i co dwa tygodnie meldowali się w NKWD. Wsiadamy na statek, przeprowadzili rewizję. Nie mówili nam, czego nie wolno było przewozić. W zasadzie nam wszystko było wolno. Inna sprawa była z więźniami, im nie wolno było mieć np. noży i innych przedmiotów, a w więzieniu obcinali nawet guziki. Mnie nie rewidowali, sądzę, że im się to zajęcie po prostu zbrzydło, gdy już doszli do mnie - ja wg rosyjskiego alfabetu jestem ostatni, bo nazwisko moje jest na literę "ja - Я". Wogóle dla mnie okoliczność ta związana była z wielu przykrościami, np. na apelu musiałem stać do samego końca.

Umieścili nas w ładowni, na pokład nie wolno było wchodzić - stał tam wartownik z automatem. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, dokąd nas wiozą, czy może znów do kolejnego obozu? Przecież razem z nami jadą więźniowie, choć w innej ładowni. Druga sprawa - byliśmy zamknięci w ładowni, pojawił się problem wyżywienia. Oczywiście każdy coś miał ze sobą. Wiedząc, że statek płynie z Czukotki do Magadanu 5-7 dni, miałem właściwie jedzenie na ten okres - bochenek chleba, konserwy i jeszcze coś - nie pamiętam już dokładnie. Inni być może też coś mieli, ale chyba nie wszyscy, więc zaraz podnieśliśmy szum - dlaczego nie wypuszczają nas na pokład, nie dają jeść? Przyszedł naczelnik konwoju i po wysłuchaniu nas zadzwonił na pokład i w ten sposób pozwolili kupować na statku prowiant - były tam suchary i różne konserwy, chleb i chyba cukier.

Tak jechaliśmy. Mieliśmy płynąć 5-7 dni, ale zaskoczył nas sztorm i musieliśmy stanąć około Wysp Kurylskich, staliśmy

tam 3 dni. Ale poprzednio też staliśmy 2 dni wskutek uszkodzenia statku, o czym wogóle nie wiedzieliśmy, dopiero dowiedziałem się o tym w Magadanie. Potem dopłynęliśmy do Petropawłowska-na Kamczatce, tam też staliśmy 3-4 dni. W ten sposób podróż przedłużyła się do 2-ch tygodni. Przy płynęliśmy do Magadanu, ^{W końcu października 1951 r.} gdy już ściemniło się, bo w listopadzie dni są krótkie. Najpierw wysadzili więźniów, a potem nas. Z nami było kilka rodzin, bo niektórzy byli żonaci z wolnymi kobietami, które dojeżdżały tam ^{na prace kontraktowe} ~~eksprasy~~. Było wśród nas 2 albo 3 rodziny, ale bez dzieci. ^{Ze} Wyszliśmy ze statku na przystań i zobaczyliśmy miejskie autobusy, natomiast nie było żadnej eskorty. Autobusy podchodziły i zabierały wszystkich po kolei. W Magadanie na 4-m kilometrze był punkt trzynytowy, gdzie zatrzymywali się przyjezdni, którzy wyjeżdżali na prace kontraktowe, widocznie na Kołymę. Tam nas umieszczono.

Ponieważ był wieczór, niewiele zdążyłem zobaczyć od razu na 4-m kilometrze, ^{jadąc autobusem} tylko widziałem wszędzie światło elektryczne, były tam już domy piętrowe, w każdym razie było to już miasto, a nie jakaś pustynia. Przyjechaliśmy na 4-ty kilometr. Stały tam tymczasowe, tranzytowe baraki dla tych, którzy przyjeżdżali do pracy. ~~Były tam~~ Baraki były ogrzewane, były tam umywalnie, woda, były też prycze z materacami-siennikami.

Na ~~statku~~ statku dawali nam wodę, można było umyć się, ale woda była zimna i nie mogliśmy ^ą wykpać się przez dwa tygodnie. Dlatego w baraku od razu umyliśmy się porządnie. Niektórzy wyszli zobaczyć i dowiedzieć się coś bliższego o tym miejscu. Byliśmy nieufni, skoro nas potraktowano na statku nienajlepiej, więc pomyśleliśmy, że być może nas znów zawieźli do jakiegoś obozu.

Nasi koledzy wrócili i powiedzieli, że nie ma tu żadnych oznak obozu, jest natomiast stołówka, klub, w którym gra orkiestra, ludzie tam tańczą /była to sobota/, są dziewczyny, w stołówce jest spirytus. Poszliśmy do stołówki, wypiliśmy /na Czukotce był w tamtym czasie system kartkowy, raz w tygodniu przywozili spirytus i dawali nam po 200 gramów/w soboty na kartki/, wróciliśmy jakoś do baraku. Położyłem się spać. Rano zauważyłem, że nie mam zegarka, został tylko pasek. Szkoda mnie było zegarka, bo zegarków wtedy tam nie było - kupiłem ten zegarek na Czukotce od marynarza za 500 rubli. Chcieliśmy coś zjeść i wykapać się porządnie. Powiedzieli nam, że są autobusy, które dowożą do miasta, a tam jest restauracja, łaźnia. Poprzednio stołówki, ~~Paźniakiem wykapać się~~ ^{Odwóciłem się i} zdjąłem i położyłem bieliznę, dostałem też ręcznik i mydło. ~~Porównałem~~ ^{zobaczyłem,} że nie ma mojej bielizny, dobrze, że miałem drugi komplet. Kt^{oś} został do pilnowania naszych rzeczy, skoro tam była taka sytuacja. Pojechaliśmy do miasta, do łaźni, do stołówki, znów wypiliśmy w restauracji wieczorem. Podczas pobytu w restauracji zauważyłem, że rozpoczęła się tam jakaś bójka, zaczęły fruwać krzesła. Postanowiliśmy szybko uciekać, żeby nie narazić się na jakieś nieprzyjemności. Szybko wyszliśmy z restauracji i zobaczyliśmy, że właśnie nadjechała suka milicyjna i zabrała wszystkich, kilku naszych też, którzy prze nocowali w areszcie, a rano ich wypuścili.

Na początku nie śpieszyłem się iść do pracy, bo miałem pieniądze.

Po niedzieli zaczęli się zgłaszać lokalni kierownicy zakładów, którzy przyjeżdżali z enkawudzistami, którzy poszukiwali głównie fachowców do pracy w głębi Kołymy. Robili listy, zapisywali. Mnie akurat w tym czasie tam nie było, ja wychodzi-

do miasta. ~~Niktórzy zaczęli szukać pracy na miejscu~~
Wracałem do baraku tylko na noc. Pytałem, czy o mnie przy-
padkowo nie pytali, raz powiedzieli, że tak. Zresztą niektó-
rzy zaczęli szukać pracy tam na miejscu, niektórzy powyjeżdża-
li. Ja nie miałem dotychczas dokumentów i nigdzie nie byłem
zameldowany. Poszedłem do NKWD, chyba byłem ostatni. Specko-
mendantem był lejtnant Lebediew. Wszedłem do jego gabinetu
i powiedziałem, że przyjechałem z Czukotki. On zaczął szukać
moich akt i powiedział, że nie ma moich dokumentów, że praw-
dopodobnie są w Uprawlenii Sojuznogo.....

Poszedłem tam, zgłosiłem się do

powiedziałem, w jakiej sprawie przyszedłem, wyszedł oficer,
jemu też wytłumaczyłem o co chodzi. Oficer wyszedł, potem
za jakiś czas wrócił i powiedział mi, żebym poczekał, bo za-
raz przyjdzie sierżant i odprowadzi mnie do obozu. Byłem bar-
dzo zdziwiony, dlaczego do obozu, przecież już od pół roku
byłem wolny. Przyszedł sierżant z teczką z moimi aktami i
mowi, że idziemy do obozu. Poszliśmy, ja wyjąłem i poczęsto-
wałem go papierosem, a potem pytam, dlaczego idziemy do obo-
zu. On odpowiedział, że nie wie, po prostu kazali mnie tam
odprowadzić. Doszliśmy do łagru - tam były trzy obozy. Za-
trzymaliśmy się przy wartowni, sierżant oddał moje dokumenty
i kazał mi czekać. Tutaj nawet nie miałem kogo zapytać, na
co ja tu czekam. Przyszedł kapitał, przyniósł mi arkusik
papieru, na którym był nadruk: zwolniony z obozu, ale znaj-
duje się w ewidencji obozu. Powiedział poza tym, że muszę
meldować się tutaj co dwa tygodni. Więc przychodziłem tam
co dwa tygodni i meldowałem się. Trwało to kilka miesięcy.
Gdy zapytałem, dlaczego dotyczy to tylko mnie /bo znałem

kilka osób, którym nie kazali meldować się. Odpowiedziano mi: Na was niet opriedielenia, czyli nie ma w odniesieniu do mnie decyzji. Nie wiedziałem, czy ta decyzja powinna przychodzić z Moskwy, czy od naczelnika zarządu NKWD z dalekiej Północy.

Ja już wtedy

~~Przez parę miesięcy, chyba w marcu 1952 r., gdy już~~ pracowałem /ze mną pracowało jeszcze dwóch Polaków - Janek Mazurkiewicz i Zdziesiek Markiewicz/. W porcie pracowały dwie brygady, które uformowały się z osób, które przyjechały ze mną. Ja zacząłem pracę 28 listopada. 1951 r. Wtedy nie potrzebowaliśmy zwracać się do NKWD. Te sprawy załatwił za nas, wypłacili nam za przejazd /nie pamiętam po ilu rubli/, zachowaliśmy ciągłość pracy. Pracowałem jako robotnik fizyczny, warunki pracy były ciężkie, płacili też nie najlepiej. Dobrze, że miałem trochę ~~mi~~ zaoszczędzonych pieniędzy z Czukotki, bo trzeba było coś sobie kupić, jakoś się wyżywić. Zakwaterowano nas początkowo w hotelu robotniczym /tzw. obszczeżycie/ w 12 km od Magadanu w miejscowości Staraja Wiesiołaja /Stara Wesoła/. Ta miejscowość była najdalej położona w kierunku na wschód. Była ostatnim zamieszkałym punktem, dalej było morze. Tam stacjonowała jednostka wojskowa NKWD, były składy materiałów wybuchowych, obóz. Mieszkaliśmy więc na sdludziu, warunki tam były nieciekawe. Mieszkałem tam ok. dwóch miesięcy. Do pracy nas dowożono. Potem mieszkałem w jednej z dzielnic Magadanu, w osadzie rybackiej, która prawdopodobnie została zbudowana znacznie wcześniej, niż sam Magadan, który zaczęto budować dopiero w 1934 r. Mieszkałem tam ok. roku. w hotelu robotniczym, chyba do jesieni 1952 r. Jeszcze trzeba wspomnieć, że odbywały się tam kursy, szkolono pracowników na operatorów do działu obsługi dźwigów i innych urządzeń.

Chciałem się dostać na taki kurs, bo nie miałem zawodu. Dano mnie skierowanie na komisję lekarską, która zakwalifikowała mnie. Złożyłem dokumenty, ale odesłano mi ~~je~~ te dokumenty z powrotem z adnotacją, że byłem skazany z art.58, choć w rzeczywistości skazany byłem z art.63, Na tych dokumentach było napisane czerwonym ołówkiem: Otkazat' /odmówić/ - zresztą bez żadnego podpisu.

Początkowo w Magadanie nie miałem jeszcze żadnych znajomości, spotykaliśmy się tylko w gronie Polaków. My we troje pracowaliśmy w porcie, jeden p. Wojda /%/ pracował w autobazie, był jeszcze jeden. Wogóle to Polaków było tam sporo, ale znajdowali się oni w zamknięciu w obozie. Jeśli chodzi o sam Magadan, to w porównaniu z Czukotką było to miasto o znacznie wyższym stopniu cywilizacji - były tam trzy kina, teatry, restauracja, bar, lodowisko. Wolnych Polaków, oprócz nas, tam nie było, w każdym razie nie znaleźliśmy nikogo innego z Polaków. Potem okazało się, że byli tam jeszcze Polacy, ale ci, którzy byli osądzeni na 5 lat i dawno wyszli z obozu, w 1949 czy w 1950 r. Jednego z nich poznałem, pana ^{Andrzeja} Józefa Mackiewicza. On został zwolniony z obozu i miał być odesłany do armii polskiej, ale armia została wykołowana ze Związku Radzieckiego i niestety on tam pozostał do 1955 r. Później wrócił, mieszkał w Krakowie i zmarł ok. 5 lat temu. Więcej Polaków pojawiło się w 1953-54-55-56, z którymi utrzymywałem korespondencję już po wyjeździe. Polacy się spotykali, razem spędzaliśmy wolny czas. Stworzyliśmy jakby kolonię magadańską. W końcu 1955 r. było nas już około 80 osób, którzy dobrze się znali.

W następnym roku przyjęli mnie jednak na kurs, po ukończeniu

którego zmieniłem zawód i pracowałem jako operator do samego końca. Warunki i stosunki w pracy nie były najgorsze. w porównaniu z innymi.

Jeśli chodzi o pozwolenie na pracę, to takie pozwolenie mieli ludzie z obywatelstwem radzieckim, tzn. ci, co byli urodzeni na tamtych terenach. Ja też miałem takie pozwolenie, bo na podstawie dekretu z 1939 r. wszyscy z wschodnich terenów otrzymali obywatelstwo radzieckie. Natomiast nie mieli pozwolenia ci, którzy byli sądzeni przez tzw. OSO - Osoboje Sowieszczanie, czyli sądzeni zaocznie i mieli obowiązkową zsyłkę.

Po otrzymaniu dokumentu zesłańca, musiałem meldować się co dwa tygodnie i tak było aż do roku 1954, do momentu wyjazdu do Polski. Byli poza tym wyznaczeni tzw. dziesiętnicy, a wśród nich był jeden starszy, który ~~musiał~~ miał obowiązek składać każdego tygodnia do spekkomendantury NKWD meldunek, czy wszyscy znajdują się na miejscu. Poza tym, jeśli ktoś nie przychodził meldować się, był karany grzywną - 100 rubli /wtedy była inna waluta - 1/10 dziesiątej/. Nie pamiętam, ile wtedy kosztował chleb, natomiast pamiętam, ile trzeba było płacić za alkohole. Spirytus kosztował, wtedy gdy mnie zwolniono z obozu, 62 ruble, a potem 56 rubli. Koniak z trzema gwiazdkami kosztował ⁵39 rubli, z czterema gwiazdkami - 40 rubli i 5-gwizdkowy - 45 rubli. Szampan kosztował 35 rubli. W Magadanie wódek nie było ze względu na to, że transport był tylko morski, dostawy utrudnione. Alkohol dostarczano w beczkach, w sklepach sprzedawany na rozlew i kiedy przychodziło się do sklepu, mówiło się: pół kilograma spirytu i była to pełna butelka, bo spirytus jest lżejszy, niż woda. Masło też kosztowało 30 rubli kilogram, papierosy - rubel pięćdziesiąt. Ja wtedy zarabiałem ok. 2000 rubli, albo trochę więcej w okresie nawigacji. To było wtedy,

gdy pracowałem jako ładowacz. Potem, gdy pracowałem już w mechanizacji, oprócz pensji dostawałem premię progresywną /chyba w zależności od wykonania ilościowego/. Więc zarobki wtedy były średnie. W kopalniach złota, gdzie pracowali też więźniowie-zesłańcy, zarabiano się znacznie więcej, ale i praca była cięższa. W Magadanie zarobki były niższe, ale warunki za to lepsze, przecież to było miasto. - kina, teatry, restauracja, alkohol sprzedawany był wówczas w każdej jadalni, dziewczyn^e były, z każdym rokiem było ich więcej. Niektór^e przyjeżdżali na kontrakt, nawet niekiedy z centralnej Rosji - z myślą o wyjściu tam za mąż. Poza tym dużo kobiet zwalniało się z obozu i zostawały w Magadanie, bo warunki życia były tam lepsze, niż w centralnej Rosji, w kołchozach, gdzie ludzie nic nie zarabiali i głodowali. Poza tym w Magadanie było niskie zaopat^zwienie. Na Cukotce początkowo były ograniczenia na niektóre produkty - na cukier, masło, papierosy. Gdy przyjechałem do Magadanu, to w pierwszym roku tam też były ~~ni~~ ograniczenia na niektóre towary, głównie dla dzieci. Dużo owoców przywozili, przede wszystkim z Chin. Nawet na statku były banany, które psuły się i potem sprzedawano je w stołówkach. Wogóle z Chin dostarczano dużo produktów - mięso, słoninę. Pracując w porcie, mieliśmy łatwy dostęp do tych wszystkich produktów i, zanim ktoś je spróbował, my najadaliśmy się nimi do syta. Mimo, że przestrzegano nas, że nie wolno tego robić, i tak korzystaliśmy z tych dostaw. Np. statek przywoził 1,5 tys. ton. Na dziennych zmianach nie byrdzo można było z tego korzystać, ale na nocnej zmianie była mniejsza kontrola i w zawsze popijaliśmy. Gdy przywozili jakieś cenniejsze towary, np. właśnie spirytus, czekoladę, to przy ładunku stał enkawudzista i pilnował go, ale jakoś wszyscy sobie radzili, zresztą i on patrzył na to przez

palce. Jeśli ktoś zaczynał zabraniać coś wziąć, to stare wygⁱportowe tak przerabiali go na szaro, że potem żałował tego. Spirytus przywozili w beczkach, które były zaplombowane. Więc wężykiem wyciągało się trochę z tej beczki i dolewało wody, przecież na 200-300 litrową beczkę to było nic. ~~Był~~ Był tam magazyn materiałów uszkodzonych, to tam odbywały się prawdziwe libacje. Po rozładunku każdego statku, podpisywało się kontrakt, a przede wszystkim odbywało się to w magazynie. Wynisili też niektóre rzeczy, głównie ubran~~ów~~owe. Na wartowni sprawdzali wszystkich. Były dwa plutony wartownicze, jednem pluton operacyjny. Przy wyjściu z pracy pracownicy ~~byli~~ byli rewidowani. Od rewizji zwolnieni byli tylko naczelnik portu i przewodniczący związków zawodowych, sekretarz partii i jeszcze kilka osób. Zrewidowani mogli być więc wszyscy nawet zdejmowało się ubrania. Rewidowano też samochody. Szczególnie ostra kontrola była wtedy, gdy przywozili jakies atrakcyjne towary. Wszyscy jednak kombinowali jakoś. Np. chowali atrakcyjne towary, a potem, gdy robiło się spokojniej, wynosili je z portu. Ja się tym nie zajmowałem. Wogóle w Magadanie mieszkali przede wszystkim skazańca - było trochę politycznych, ale większość byli kryminalni, recydywiści, bandyci. Jeśli chodzi o grabieże, morderstwa - nie był prawie ani jednej nocy, żeby kogoś nie zamordowali. Dlatego po 22.00 wieczorem na ulicach byli pusto. Zresztą pojedynczo nikt nie wychodził. Bandyci zwykle siedzieli w barze, czy restauracji i obserwowali pijących, a potem napadali. Ja nie miałem zasadniczo takiego przypadku. Wprawdzie było takie jedno zdarzenie. Port był w odległości 4 km od naszego miejsce zamieszkania i dowożono nas do pracy. Więc jechaliśmy raz autobusem na nocną zmianę. Po drodze była

baza zaopatrzeniowa ogrodzona parkanem. Po drugiej stronie był tzw. awiagorodok, t.j. dzielnica, gdzie mieszkała cała obsługa lotniska. Lotnicy byli lepiej sytuowani, ich żony były dobrze ubrane, nosiły futra. Więc jadąc autobusem zauważyliśmy, że pod płotem stoją dwie panie, które^e zorbierają. Para osób wyszła z autobusu i podeszła bliżej, wtedy bandyci rzucili wszystko i uciekli brzegiem morza. Jeden z nich chyba zagubił się i pobiegł prosto szosą w stronę portu. Jeden z pracowników portu, najwyższy ze wszystkich, pobiegł za nim i dogonił go. Przekazaliśmy tego bandziora wartownikom. Zresztą kieszonkowców można było spotkać na każdym kroku - w kinie, restauracji, wszędzie było ich pełno. Ale po wielu latach pobytu w obozie człowiek miał już ogromną wprawę w ich rozpoznawaniu.

Wróćę do okresu pobytu w obozie, gdzie też byli różni bandyci i kryminaliści, urki tzw., którzy obrabiali w celach. Raz przyszedł do celi naczelnik więzienia z komendantem. Komendant był też więźniem. Naczelnik stał, a komendant zaczął przechodzić się po celi, gdzie było ogromnie zagęszczenie i nawet położyć się nie można było, tylko wszyscy siedzieli. Chodził między rzędami i wskazywał palcem na tych, którzy musieli zabierać rzeczy i wychodzić. Poparrzyłem i zobaczyłem, że on wybierał wszystkich urków. Pomyślałem, skąd on tak dobrze wie, kto jest urkiem. Przecież było to tranzytowe więzienie i ciągle wszyscy się tam zmieniali, było kilka tysięcy więźniów. Wybrał prawie wszystkich urków. Ale potem, gdy przebyłem tyle lat w obozie, też bym potrafił to zrobić. Mimo tego, kiedyś skradli mnie skórzane rękawiczki. W tym czasie rękawiczki takie były w Magadanie bardzo ważną rzeczą. Kupiłem je za 30 rubli, choć też chyba były one kra-

dzione, bo używane. Pewnego razu mieliśmy zamiar wypić, więc wziąłem pieniądze i poszedłem do sklepu po spirytus. Miałem odliczone akurat 56 rubli. Stałem w kolejce, a za mną stanął jeden złodziejaszek. Pieniądze miałem w ręku, a w kieszeni zimowej kurtki - pieniądze. Podałem sklepowej pieniądze ona dała mi butelkę spirytusu. Wsadzam do kieszeni butelkę, a w drugiej trzymałem rękawiczki. Ponieważ butelka jakoś nie chciała wejść do kieszeni, musiałem pomóc drugą ręką i po tym ułamku minuty zauważyłem, że skradziono mi rękawiczki.

Żonę swoją poznałem trochę później. W 1954 r. moja Monika pracowała

Ja mieszkałem przez rok w hotelu robotniczym, a potem już mieszkałem w prywatnym mieszkaniu u jednego Ukraińca. Mieszkałem jak w rodzinie, ~~przyjeżdżałem~~ ^{niecały} miałem tam niewielki pokójeczek przychodziłem, kiedy chciałem. Było mi tam dobrze. Z tym Ukraińcem byliśmy razem na Czukotce i znaleźliśmy się. On się ożenił po wyjściu z obozu, żona jego była Mołdawianką. Potem on zbudował sobie dom, ja też mu w tym pomagałem. Trochę rzeczy przynosiłem im z portu. Mieszkało mi się tam bardzo dobrze. On ~~mi~~ miał matkę Polkę, ojciec był Ukraińcem. On bardzo dobrze mówił po polsku, ~~mi~~ skończył przed wojną gimnazium. Żona jego była na zesłaniu z dziećmi. W 1954 r. zezwolono na łączenie się rodzin. Ponieważ on mieszkał w hotelu robotniczym, a miała przyjechać jego żona, postanowił zbudować jakieś mieszkanie. Dali mu działkę, kosztowało to grosze. Po załatwieniu wszystkich formalności, zgromadziliśmy materiały budowlane i wybudowaliśmy dom. Wtedy była tam już dużo Polaków, którzy zaszedli wracać z obozów. Niktórzy przebyli w obozach prawie 10 lat, niektórzy mieli tzw. zacoty, więc wcześniej zwalniali się.

1953 r

Był już marzec, nie było nawigacji i pracowaliśmy przy różnych robotach remontowych, chyba naprawialiśmy jakąś sieć wodociągową. Wtedy podano przez radio komunikat, odczytany bardzo poważnym tonem, że Komitet Centralny i Rada Ministrów ZSRR zawiadamiają, że o takiej i takiej godzinie zakończył życie Josif Wissarionowicz Stalin. W Prawie wszyscy rozśmieli się, Prawie każdy miał nadzieję, że zaraz nastąpią zmiany. Ja natomiast takiej nadziei nie miałem. Mówiłem, że odszedł jeden diabeł, ale zaraz na jego miejsce przyjdzie drugi. Baliśmy się nie tylko w obozie, ale i na wolności, wciąż oglądaliśmy się za siebie. Wprawdzie nikt nie przestrzegał specjalnie szczególnych środków ostrożności. Więc śmierć Stalina została przyjęta na wesoło. Większość robotników stanowili byli więźniowie i, mimo tego, że siedzieli za różne przestępstwa, Stalina nikt nie uwielbiał specjalnie. Od razu pracownicy z politycznych więźniów zaczęli w każdym przedsiębiorstwie organizować jakiś wiec po. pracy. Akurat wtedy był u mnie mój kolega z obozu. Nie był to więzień polityczny, siedział za drobne przestępstwa pospolite. Był to bardzo porządny człowiek, Polak. Pochodził on z Rostowszczyzny, skąd Monika pochodzi. Ja poszedłem do pracy, a on został w domu, gdzie mieszkałem. Zatoka wtedy była zamarznięta. Ja mieszkałem po drugiej stronie zatoki - ok. 3 km na wprost. Wię- poszedłem przez zatokę. Niktórzy zauważyli, że ktoś poszedł po lodzie i inni poszli za mną. W następnym dniu miałem trochę nieprzyjemności, wezwali mnie. Ale ja za bardzo nie patyczkowałem się z nimi. Powiedziałem, że przyjechał do mnie brat i chcę jego przyjąć. Pewnie wezwali mnie dlatego, że za mną poszła duża

grupa ludzi. W obręb portu zakazali przyjazdu autobusów. Okes żałoby był bardzo krótki, trwał ^{do niedzieli} ~~jeden dzień~~. Żartowałem, że trzeba wytrzymać do niedzieli, bo po niedzieli znowu ^{to samo} będzie. W czasie żałoby zawieszono flagi z czarnym kirem, alkohol nie był sprzedawany. Na prywatnych domkach nie było flag, to kazali wywiesić. Chyba pogrzeb Stalina odbył się w sobotę, bo w niedzielę otworzyli już kina. Znow zorganizowali wiec na plycu prze głównym urzędem Dalstroju w Magadanie. Pracownicy wszystkich zakładów - chciały, czy nie chciały - musieli iść na ten wiec. i wszyscy podpisywali listy. W ⁱⁿMagadanie było to wieczorem, a ze względu na różnicę czasu w Moskwie było ^{to} chyba rano. Ja też byłem na wiecu. Uroczystości pogrzebowe transmitowali z Moskwy, przemawiał Beria i inni współpracownicy. W czasie wiecu niektóre kobiety płakały.

Po śmierci Stalina nastąpiły pewne ulgi, inaczej człowiek zaczął oddychać. Mniej więcej po miesiącu zaczęli ludzie mówić, ile złego zrobił ten jeden człowiek, mówili nawet na zebraniach partyjnych.

Potem była sprawa Berii. Jeszcze nigdzie nie było to ogłoszone, szedłem do pracy, ktoś przyszedł i powiedział, że portrety Berii zdejmują. Zrozumieliśmy, że ten człowiek jest skończony. Potem jeszcze sprawa żydów, lekarzy była.

Kiedy został wydany kalendarz na 1954 r - a my w porcie mieliśmy pierwsi dostęp do nich - zobaczyliśmy, że 5 grudnia - ^{kiedy było święto} Dzień Konstytucji Stalinowskiej - został nazwany Dzień Konstytucji ZSRR. Później wydarzenia zaczęły rozwijać się szybko, zaczęli zwalniać z obozów, ogłosili amnestię - pierwszą ^{więźniów} dla ~~przesłanych~~ kryminalnych. W Magadanie niesamowite rzeczy się działy - całe towarzystwo zjechało z Kołymy do Magadanu

Do tego czasu też tam działały się różne rzeczy, grabieże i tp. Normalnie zabierali ich z ulicy, z parku na statek i wywozili. Niektórzy trafiali do więzienia tam. Recydywiści prawie całe życie spędzali w więzieniu, w obozach.

Dla politycznych właściwie nie było amnestii jako takiej. Druga amnestia dotyczyła chyba tych z wyrokiem do 5 lat.

W 1954 r. wyszedł dekret Rady Najwyższej. Wówczas wszystkich, którzy zostali w wieku do lat 18 skazani /małoletni mieli w więzieniu oddzielne cele i kolonie tzw. W koloniach oni pracowali. W więzieniach małoletni dostawali więcej chleba, po 600 gramów dziennie - my po 450 g, i cukru trochę więcej. Dotyczyło to niepełnoletnich do 16 roku życia/ zostali zwolnieni. Wśród tych małoletnich byli też Polacy. Można powiedzieć, że była to ^{niby} amnestia.

Następnie zwolniono osoby po zakończeniu wyroku, albo - jak to było w 1955 roku - na podstawie dekretu. Była komisja, która decydowała, zwolnić, czy nie zwalniać. W 1956 r. też wydano jeszcze jeden dekret. Wtedy już mniej rygorystycznie podchodzili do spraw, zwolnili prawie wszystkich. Pozostawili tylko tych, którzy później zostali przekazani do Polski jako więźniowie i dopiero w Polsce zostali zwolnieni - w 1958-59 r. Była jeszcze amnestia na ~~porządku 1958 r.~~ wiosnę 1955 r. dla tych, którzy współpracowali z Niemcami. Też nie dla wszystkich. Wykluczeni byli z amnestii ci, którzy brali udział w ludobójstwie. W ten sposób wszyscy niemieccy policjanci zostali zwolnieni z więzień i dostali sowieckie paszporty. Jeśli chodzi o uczestników AK, czy np. UPA ukraińskiego, to takiej amnestii nigdy nie było. Poza ~~sz~~ komisjami, sprawy niektóre rozpatrywały sądy, w przypadku powtórnej rewizji

procesów. Właśnie Monika została zwolniona na podstawie rewizji procesu. Więc komisje działały swoją drogą, a jeszcze działały sądy, które ponownie rozpatrywały sprawy, nawet bez specjalnych podań.

Już mówiłem^{Y!}, że wybudowaliśmy taką chałupkę i mieszkaliśmy tam z kolegą który teraz w ySzczecinku mieszka, później Michnowicz Walek /?/ do nas doszedł. Przyjeżdżali do nas nawet nieznajomi ludzie, nawet z odległości 1000 km. Więc zatrzymywali się u nas. Przychodzę raz z pracy, widzę ~~jakiś~~ wchodzi jakiś człowiek z walizeczką. Pyta, czy pan Jachiewicz tu mieszka. Powiedział, że przyjechał z Wilna i czy czy może tu zatrzymać się. Okazało się, że on jest ze statku, z Wilna. Zapytałem, jakim sposobem on dowiedział się o mnie. Okazało się, że tam przebywał jeden z okolicy Wilna, Modlinkiewicz /?/ który po wyjściu z obozu pojechał do żony i dzieci. Zobaczył nędzę w kołchozie, gdzie oni mieszkali, zabrał żonę i dzieci, sprzedał chałupę i to co pozostało i jechał na Kołymę, gdzie były lepsze warunki. Więc Modlinkiewicz z żoną i dziećmi jechał na Kołymę, a ten młody człowiek Józek Rodkiewicz przyjechał razem z nim, na zarobki. Dojechali do Nachodki, żona Modlinkiewicza zobaczyła, takie ogromne wody, że trzeba będzie dalej płynąć morzem i powiedziała, że dalej nie pojedzie i zostali w Nachodce. Nie wiem, czy są oni teraz w Polsce, czy zamieszkali na stałe w Nachodce. Mieli trochę pieniędzy ze sprzedaży domu, ~~nie~~ ⁱ wybudowali sobie jakiś domek nawet listy przysyłąli do Magadanu. Natomiast Józek Rodkiewicz, który przyszedł do mnie, przypłynął statkiem do Magadanu. Mieszkał u mnie parę tygodni, zanim nie ulokował się gdzieś. Znalazł pracę i pracował. W ten sposób przyjeżdżało

dużo kolegów, znajomych i nieznajomych, którzy zwalniali się z obozu. Niektórzy odjeżdżali, wracali do swoich domów na Kresy, gdzie mieli swoje rodziny, w okolicach Wilna, Grod-
da, Lidy. Był u mnie jakby punkt tranzytowy. Było u nas we-
soło, niektórzy chłopcy i dziewczęta grali na różnych in-
strumentach, śpiewali. Niektórzy nawet nam zazdrościli, że
u nas tak wesoło i koleżeńsko. W ostatnich latach, gdy były
święta Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy ~~z~~ Polacy zbie-
rali się razem. W 1955 r. na Wielkanoc wszyscy nie mogli
zebrać się naraz, to było dwie grupy. Jedna zebrała się u
mnie, miałem pokój, w którym pomieściło się 33 osób. Druga
grupa była u Bolka ~~...~~? Jego w Polsce teraz nie
ma, on mieszka około Wilna, w ubiegłym roku przyjeżdżała
jego córka.

Gdy byliśmy w obozie, ^{na Czekolce} nie mieliśmy możliwości uroczystie
obchodzić święta, ~~Poza tym Polaków tam nie było. Przez pe-
wien okres byłem jedynym Polakiem. Gdy przyjechałem do Maga-
danu, święta Potem w jednej brygadzie ze mną był~~
poza tym nie zawsze wiedzieli, kiedy są święta. Wiadomo, że
Boże Narodzenie jest 25 grudnia, ale Wielkanoc nie zawsze
wiadomo, kiedy były, poza tym, że w marcu lub w kwietniu.
Korespondencja dochodziła też po 2-3 miesiącach, a niekiedy
i po roku. Poza tym ^{początkowo byłem tam jedynym Polakiem} ~~Polaków tam początkowo nie było.~~ Potem
w jednej brygadzie ze mną był Zygmunt Pocieszynski, który
zmarł już ponad 10 lat temu.

Gdy przyjechałem do Magadanu w 1951 r., to ^w pierwsze święta
Bożego Narodzenia ^{z wyrobami czekoladowymi} pracowałem. Była tam masa skrzynek, które
rozładowywaliśmy. Było bardzo dużo rozbitych skrzynek. Gdy
skończyliśmy rozładunek, na podłodze wałało się dużo cukier-
ków, czekolady. Jeszcze żartowaliśmy, patrzcie, jakie my

dużo kolegów, znajomych i nieznajomych, którzy zwalniali się z obozu. Niektórzy odjeżdżali, wracali do swoich domów na Kresy, gdzie mieli swoje rodziny, w okolicach Wilna, Grod-
da, Lidy. Był u mnie jakby punkt tranzytowy. Było u nas we-
soło, niektórzy chłopcy i dziewczęta grali na różnych in-
strumentach, śpiewali. Niektórzy nawet nam zazdrościli, że
u nas tak wesoło i koleżeńsko. W ostatnich latach, gdy były
święta Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy ~~z~~ Polacy zbie-
rali się razem. W 1955 r. na Wielkanoc wszyscy nie mogli
zebrać się naraz, to było dwie grupy. Jedna zebrała się u
mnie, miałem pokój, w którym pomieściło się 38 osób. Druga
grupa była u Bolka ~~...~~? Jego w Polsce teraz nie
ma, on mieszka około Wilna, w ubiegłym roku przyjeżdżała
jego córka.

Gdy byliśmy w obozie, ^{na Czekolce} nie mieliśmy możliwości uroczystie
obchodzić święta, ~~Poza tym Polaków tam nie było. Przez pe-
wien okres byłem jedynym Polakiem. Gdy przyjechałem do Maga-
danu, święta. Potem w jednej brygadzie ze mną był~~
poza tym nie zawsze wiedzieli, kiedy są święta. Wiadomo, że
Boże Narodzenie jest 25 grudnia, ale Wielkanoc nie zawsze
wiadomo, kiedy były, poza tym, że w marcu lub w kwietniu.
Korespondencja dochodziła też po 2-3 miesiącach, a niekiedy
i po roku. ~~Poza tym Polaków tam początkowo nie było. Potem~~
^{początkowo byłem tam jedynym Polakiem}
w jednej brygadzie ze mną był Zygmunt Pocieszynski, który
zmarł już ponad 10 lat temu.

Gdy przyjechałem do Magadanu w 1951 r., to ^w pierwsze święta
Bożego Narodzenia pracowałem ^{z wyrobami czekoladowymi}. Była tam masa skrzynek, które
rozładowywaliśmy. Było bardzo dużo rozbitych skrzynek. Gdy
skończyliśmy rozładunek, na podłodze wałało się dużo cukier-
ków, czekolady. Jeszcze żartowaliśmy, patrzcie, jakie my

mamy Boże Narodzenie, bo było to akurat 25 grudnia.
W następnym roku 1952 już wiedzieliśmy, kiedy jest Wielkanoc, bo rodzice Zdzińska Kątka mieszkali na Wileńszczyźnie, ale też jeszcze nie było nas tam wielu. Przyjechaliśmy z Czukotki i nie mieliśmy jeszcze żadnych znajomości w mieście. Wogóle Polaków nie było jeszcze dużo. Natomiast ^{na} Boże Narodzenie w 1952 roku byliśmy też w pracy w Wigilię i Janek Mazurkiewicz powiedział, że trzeba coś z tej okazji zorganizować. On ~~mieszkał~~ wtedy w hotelu robotniczym, ja już prywatnie. Postanowiliśmy zebrać się, zaprosiliśmy jeszcze jednego Polaka z Łodzi, który pracował ^{jako dyspozytor} w porcie. Nie pamiętam jego nazwiska, ani imienia. On mieszkał w tym samym hotelu robotniczym, co i Janek Mazurkiewicz. Przyszedł do nas także jeden Rosjanin - Kondakow, też dyspozytor w porcie. Był bardzo koleżeńskim i lubił popić. Mieliśmy pół litra spirytusu. Oczywiście opłątka nie mieliśmy, było trochę ryby. Więc wypiliśmy pogawędziliśmy i taka była nasza Wigilia w 1952 r.
W 1953 r. też nie było w Magadanie za dużo Polaków. Postanowiliśmy z Jankiem Mazurkiewiczem zorganizować już coś bardziej po ludzku w mieszkaniu /Mazurkiewicz też wtedy już mieszkał u jednego Ukraińca z Zachodniej Ukrainy/. On był osądzony za sprawy polskie. Wtedy były takie komisje charytatywne w układzie Sikorskiego, które pomagały tym
Ci wszyscy, którzy nie zostali ewakuowani, a pracowali w tych różnych placówkach, później byli aresztowani - za szpiegostwo i inne rzeczy. Ukraińiec pracował w tej placówce i też został aresztowany jakby za sprawę polską/. Więc ten Ukraińiec, ja, Janek Mazurkiewicz i Radkiewicz zebraliśmy się w mieszkaniu tego Ukraińca i zrobiliśmy już bardziej rodzinne spotkanie.

Natomiast już w 1954 roku obchodziliśmy Wigilię u mnie w mieszkaniu. Przyszedł pan Popławski, Zenek Przepławski /?/ /oni byli z obozu, chyba zorganizowali przepustki, zresztą chodzili już wtedy bez eskorty/. Pan Popławski przyniósł ogromną kiełbasę i tak to wyglądało, że przynosiło się z obozu kiełbasę. To co zostało po Wigilii, on oczywiście zabrał z powrotem. Zebrało się nas około 10 osób. Był też Witek Śmigiela,*m nie mogłam odczytać wszystkich nazwisk* Więc wszystko było, jak należy.

Na Wielkanoc w 1955 r. zebrało się nas już ok. 30 osób. Były ~~ixświęconka~~ jajka, ale nie było komu poświęcić, - księdza w Magadanie nie było. Kiedy byliśmy już w kraju, dowiedzieliśmy się, że jakiś ksiądz był w Magadanie. Chrzczył dzieci - na Kołymie nie tylko ludzie umierali, ale i rodzili się też, choć mało. Ksiądz bywał wśród Ukraińców, którzy są też katolikami. Utrzymywaliśmy kontakty z niektórymi Ukraińcami, którzy byli z nami w obozach. Więc żyliśmy bez księdza.

[Jeśli chodzi o stosunki z Polakami, którzy tam przebywali, to można je ocenić pozytywnie. Mniejsze grupy były bardziej koleżeńskie. Niekiedy w większych grupach bywały jakieś nieporozumienia, ale na ogół stosunki między Polakami można ocenić pozytywnie. Wśród naszych nie było złodziei, pijaków, awanturników. W obozach natomiast zdarzały się różne rzeczy, donosy. Mówiono mnie, że niektórzy działali jako ~~z~~ "siekret-nyje sotrudniki", tj. tajni ^{Konfidenci} pracownicy. Ja nie spotkałem wśród mojego otoczenia takich, a na wolności wogóle nie słyszałem o tym.

Wiedziałem, że w Magadanie jest niejaka Monika Ducz /?/, że pracuje w cegielni, ^{jako wiszmarka} powiedziały mi o tym koleżanki - Polki. Był tam także niejaki pan ^{Obolewicz} ~~Popajewicz~~, pochodzący z tej samej

.....On przeze mnie listy do niej przekazywał. Nie wiem jakim sposobem Monika dowiedziała się. W każdym razie chyba przeze mnie list do Polski został wysłany. Później listy przychodziły z Polski na mój adres, ja przekazywałem. Widziałem ją parę razy, ~~eg~~ gdy dziewczyny wracały z pracy. Nie wiedziałem zresztą, która to była Monika. Nie pisaliśmy do siebie listów. Dowiedziałem się, że te dziewczyny ~~mał~~ miały wyroki po 25 lat, więc nie było sensu zawracać im głowy. Później koleżanka Moniki zwolniła się i nie miała gdzie pójść. Gdy któraś dziewczyna wychodziła z obozu, nikt nie troszczył się o tym, żeby ją gdzieś zakwaterować. Więc wyszła ta dziewczyna, Joła Maturzycka - to panięskie nazwisko - a po mężu - Jatkiewicz /?/, mieszka teraz w Szczecinku. Ona wyszła za męża, a weselne przyjęcie było tak zorganizowane, że dwie panie, Polki, które pracowały w cegielni - Monika i inna panie..... zostały zwolnione na kilka godzin i przyszły do nas. /mamy nawet zdjęcie z tej okoliczności/. Od tego czasu już znaliśmy się. Było to w lipcu. Monika zwolniła się we wrześniu i też przyszła do nas. Tak poznaliśmy się i pobraliśmy~~ys~~ się. Minęło od tamtego czasu 34 lata. ~~Nasz~~ Okres naszego narzeczeństwa był bardzo krótki, ślub cywilny też braliśmy tam. Miałem z tym trochę kłopotu, bo ja byłem zarejestrowany, ponieważ prowadzono tam rejestrację Polaków, którzy mieli rodziny w Polsce, byli urodzeni w Polsce. Niektórzy mówią, że komuś tam utrudniali, że tam zatrzymywali. Ja w to nie bardzo wierzę - ten, który starał się, to do Polski przyjechał. Niektórzy pożenili się zam, założyli rodziny i dlatego zostali. Np. Zdzisio Minkiewicz, który użenił się z Rosjanką i został w Magadanie, Janek Roszko. Nie wiem, czy dotychczas są w Magadanie, bo niektórzy potem

wyjechali na tereny wschodnie. Jeszcze Bartoszewicz Jan. On też ożenił się tam, ale potem wrócił do Polski, obecnie już nie żyje.

Monika nie była zarejestrowana. Rejestracja była w czerwcu, a ona wyszła na wolność we wrześniu. Oni robili rozeznanie w Polsce, czy są tam rodziny byłych więźniów. Np. moją siostrę wzywali do Prezydium Miejskiej Rady i pytali, czy ona zgadza się, żeby brat przyjechał.

Początkowo nie wierzyliśmy, że coś będzie z naszego wyjazdu do Polski. Nagle wzywają mnie ~~w sprawie~~ do speckomendantury i powiedzieli, żeby w ciągu trzech dni zlikwidować tutaj ^{przed wyjazdem} wszystkie swoje sprawy. Powiedziałem, że mam tu żonę, ale mnie odpowiedzieli, że ponieważ ona nie jest zarejestrowana, to nie może wyjechać. Ale po zwolnieniu Monika otrzymała z Polski poświadczenie obywatelstwa polskiego. Enkawudzista popatrzył na ten dokument i choć nie potrafił go przeczytać, stwierdził, że to jest dokument urzędowy i wciągnął ją na listę tych osób, którzy byli wyznaczeni do wyjazdu do Polski. W ten sposób przyjechaliśmy do kraju razem z Moniką.

Po przyjeździe do Polski mieliśmy trochę kłopotów z mieszkaniem, ale nie więcej, niż inni. Żadnych przykrości z powodu pobytu na obczyźnie nie mieliśmy. Zresztą, gdy byłem jeszcze w Magadanie, też nie miałem żadnych problemów. Przed wyjazdem wezwał mnie zastępca kierownika działu mechanizacji portu - był to komunista, ale porządny człowiek. Powiedział do mnie: a może zostaniesz, podwyższymy ci grupę, uposażenie. Powiedziałem, że nie skorzystam z propozycji, bo Polacy powinni mieszkać w Polsce. Przyznał mi rację. Przed odjazdem przyszedłem do portu, pożegnałem się ze wszystkimi było bardzo przyjemnie. Mam nawet opinię stamtąd, pozytyw-

ną. Wogóle nigdy nie miałem kłopotów w pracy, taki mam charakter. Gdy mieszkałem w Magadanie w prywatnym mieszkaniu, wokół mieszkali głównie Rosjanie. O Rosjanach, jako o narodzie nie mogę powiedzieć nic złego - są uczciwi, otwarci, zawsze zapraszali mnie do siebie, jednym słowem - słowiańskie dusze.

Kilka zdań o paszocie do kraju

Relacja Moniki Jachiewicz z domu Duż

październik 1989 r.

Urodziłam się 20 września 1925 r. we wsi Zarzecze, powiat Brasław, województwo wileńskie. Wychowywałam się przy rodzinie. W 1939 roku ukończyłam szkołę podstawową. Mieszkałam z moją mamą i dwoma braćmi - Józefem i Bronisławem. Pracowaliśmy na roli. Kiedy powstała konspiracja, moi bracia i ja pracowaliśmy w AK. Oczywiście byłam zaprzysiężona. Do dziś pamiętam słowa przysięgi, zacytuję ją tu, aby potomni wiedzieli jaką przysięgę składali AK-owcy:

"W obliczu Boga Wszechmogącego, w Trójcy Świętej Jedynego, kładę rękę na ten święty krzyż, znak męki i zbawienia i przyrzekam, że wiernie i nieugięcie stac będę na straży w obronie Ojczyzny, tajemnicy dochowam, co by mnie spotkać mogło, tak mi dopomów Panie Boże Wszechmogący i wszyscy święci. Amen."

Pracowałam w brasławskim obwodzie pod kryptonimem "Jeż". Praca w AK dawała mi duże zadowolenie. Obowiązki wzięte na siebie spełniałam namiętnie i sumiennie. Często gościem w naszym domu bywał komendant brasławskiego obwodu Stanisław Wołkowski, pseudonim "Seks", obecnie już nie żyjący. Kiedy był ranny i leżał w Brasławiu w szpitalu chodziłam do odwiedzeń. Ostatni raz kiedy byłam u niego, powiedział że czuje się już znacznie lepiej, a jedynym jego marzeniem jest wyzdrowieć, w pierwszym rzędzie nas odwiedzić i na nowo zebrać się do pracy.

Z chwilą kiedy 23. Brygada Brasławska była już uformowana, brat mój Bronisław poszedł do Brygady, a kiedy została rozbrojona, wszystkich wywieziono do Kaługi. Po jakimś czasie wrócili do Polski. Brat przyjechał do Redy i tam pracował, natomiast drugi brat, Józef rozpoczął poszukiwania i właśnie w Redzie nastąpiło ich spotkanie. Były łączy szczęście i radości i razem przyjechali do Szczecinka.

Brat Józef do Polski przyjechał w końcu 1945 r., a bratowa z dziećmi trochę później, ja natomiast nie mogłam przyjechać i z moją mamą zostałam na Wileńszczyźnie. Życie było ciężkie. W 1946 roku grad wybił zboża na polu, a przecież trzeba było oddać je na kontyngent, dokuczał nam głód.

Wreszcie nadszedł dzień 2 grudnia 1948. Byłam u koleżenki, a kiedy wróciłam przed dom zajechał wóz i do mieszkania weszło dwóch uzbrojonych enkawudzistów. Zapytali, czy ja jestem Monika. Powiedziałam, że tak. Zrobili rewizję. Ponieważ nic nie znaleźli, kazali mi się ubierać. Ubrałam się, pożegnałam z mamą. Straszne to było...

Zawieźli mnie do miasteczka Skóbobódki, ale zaraz stamtąd do powiatowego miasta Brześkw i tam zaczęły się przesłuchania. Długo to trwało. Przede wszystkim pytano mnie o brata Józefa i o moją pracę w AK. Po przesłuchaniach śledczy powiedział, że zostaję na noc w pokoju obok. Leżałam na gołej podłodze w ciepłym płaszczu, bo pokój był zimny. O mojej pracy w AK i tak już NKWD wiedziało.

W 1946 roku aresztowani zostali koledzy, których katowano i nie wytrzymali - powiedzieli o mnie. I tak nie wiem jakim cudem jeszcze dwa lata byłam na wolności. Przed rozwiązaniem AK dostałam od komendanta obwołu zaświadczenia o pracy w AK, które także i kolegom musiałam doręczyć, co oczywiście zrobiłam. NKWD wiedziało już o tym.

Tak więc jedną noc przeleżałam na podłodze w pokoju w Brześkwiu a rano znowu przesłuchanie. Śledczy mówi, że razem z innymi wywożą mnie do Połocka do więzienia śledczego. Trafiam tam do okropnej celi, gdzie szczury i myszy nie dawały spokoju. Były tam cztery osoby i w dalszym ciągu trwały przesłuchania, a najgorzej było w nocy, kiedy się słyszało zgrzyt klucza w drzwiach, wchodził strażnik i pytał: kto jest na literę D? Wiedziałam,

że chodzi o mnie, bo tylko moje nazwisko zaczynało się na tę literę. Mówił: "sibirajsja" - jak to się śpiewa w piosence "ofiary idąc na śledztwo drżą". I ja wtedy strasznie drżałam. Przesłuchania trwały całą noc z biciem po twarzy. Człowiek nie wyspany, zmęczony, a tu w dzień nie miał prawa położyć się w celi, bo zaraz dyżurny zaglądał przez judasza i krzyczał "podnimojs". Bardzo często słychać było jęki i odgłosy bicia z sąsiedniego pokoju.

Śledztwo trwało dwa miesiące. Po jego zakończeniu zawieziono mnie do innego więzienia. Tam cęła była lepsza, nawet widna, ale panował taki tęk, że brakowało powietrza. W celi był smród i wstrętny zeduch. Tam, gdzie stała parasza, miejsce zawsze było mokre. I tak właśnie na tej mokrej podłodze się spało. Parasza była wynoszona tylko dwa razy dziennie.

W tym czasie, kiedy mnie aresztowano było dużo aresztowań - w mojej sprawie 20 osób, nawet nie wszystkie z nich znałam. Rozprawa sądowa trwała 6 dni, osądzono mnie za zdradę ojczyzny i za pracę w AK. Dwie osoby skazano na 10 lat, natomiast resztę, w tym nie na 25 lat pozbawienia wolności. Mimo wszystko nie zęłemaliśmy się. Po rozprawie zamknęli nas w jednej celi, a konwojenci obserwowali nasze zachowanie. To my na złość im zaczęliśmy śpiewać, a nawet tańczyć. Oni nie mogli się nadziwić naszemu zachowaniu, zdumiali się, że nie płaczemy, bo przecież mamy takie straszne wyroki.

Po rozprawie sądowej nie trzymali nas już długo w Połocku. W krótkim czasie był etap do Orszy. Tam był punkt przesyłkowy. Razem ze mną była koleżanka Marta Janowicz. W Orszy też nie gościłyśmy długo. Zaraz wywieźli nas do więzienia w Mogilowie i tam byłyśmy niecałe dwa miesiące. Pamiętaj, że w maju w Maryjnym miesiącu z naszych młodych ust płynęły słowa: "Pod Twoją obronę".

Z takimi wyrokami, jak nasze traktowano nas jako niebezpieczne i nie brano do pracy, chodziliśmy tylko na 15-minutowy spacer. Karmiono nas podle. Zupy dostawaliśmy pół litra, zresztą niczym się nie różniącej od mętnej wody. Czasem dodawano jeszcze małą rybkę, w tej rybce były białe żyjątka i ja jej nie jadłem. Niektóre dziewczyny jadły jednak, gdyż głód bardzo nam dokuczał. Od mojej kochanej mamy dostawałam czasem paczki i zawsze dzieliłam się nimi z koleżankami.

Po jakimś czasie znowu wywieziono nas do Orszy, ale nie na długo. Zarecz wywieziono nas do Kujbyszewa, gdzie mnie okradziono /zabrano spódniczkę i bluzkę/. Następny etap był do Nowosybirsk. Tu spotkałam nowe koleżanki - Helę Wasuto, Jaskę Tkaczuk, Stasię Rodziewicz, Bronię Nowogrodzką, Jaskę Bohaterowicz. Wszystkie one pochodziły od Grodna, wszystkie miłe. Tu też byliśmy krótko. Etap następny to Buchto-Wanino nad samym Morzem Cchockim. Byliśmy tutaj dwa miesiące, mieszkaliśmy w pałatkach /namioty/. Kiedy padał deszcz, woda leciała nam na głowy, poscieli żadnej nie było, z wodą też było źle. Jeśli dyżurna zauważyła, że ktoś robi pranie, natychmiast kopała naczynie z wodą i już było po praniu. Chodziliśmy po drzewo, rwałysmy trawę, które kaleczyła ręce, przebierałyśmy ziemniaki. Łaźni nie było, tak że pojawiło się robactwo.

W październiku pod gołym niebem, odmawiając różaniec prosiliśmy Matkę Boską Różańcową o rezerwanie kajdanów naszej niewoli. Wreszcie koniec listopada i znowu etap, ale tym razem morską drogą "Feliksem Dzierżyńskim". Z chwilą kiedy statek ruszył - zaczęło się. Prawie każdy chorował na morską chorobę, niektórzy nawet bardzo ciężko. Ja jakoś względnie. I tak płynęliśmy 9 dni. Wreszcie przywieziono nas na Kolumię, a tak dokładnie do miasta Magadan. Tu zaprowadzono nas od razu do łaźni, nasze ubrania oddano do dezynfekcji żeby oczyścić z robactwa. Miałam płaszcz z futrzanym

koknierzem, oddali mi go cały spalony.

Dostaliśmy nowe umundurowanie: wojsłoki, spodnie watowe, buszłaty, czapki uszetki, bluzki czarne, spódniczki czarne, pantelony /majtki/, halkę płócienną. Ustawiono nas w kolumnie po pięć osób i pomaszzerowaliśmy pieszo do obozu cztery kilometry, oczywiście pod konwojem i z psami. Wreszcie doszliśmy do zony. Ukazał nam się straszny obraz. Stare, przegniłe baraki, okna powybijane, a był to grudzień, wody nie było i jakiś czas myśleliśmy się śniegiem. Po pewnym czasie uformowano nas w brygady, wydano numery, mój był T-I-534. Każdy miał po trzy numery. Jeden nosiło się na czole, drugi na lewym kolanie, a trzeci na plecach naszyty na waciku.

W 1950 roku część koleżanek wyjechała na etap, ja zostałam. Zaczęły przybywać nowe. Pamiętam była wśród nich koleżanka Hela Baturzycka, obecnie Jatkiewicz, Hela Leuto, Marysia Regińska, Marysia Romenczuk, Marysia Brzezinka, Hanke Kulewicz, pani Berdowska i wiele innych. A, i jeszcze Irena Olizar.

Wreszcie skierowano kilka brygad do pracy, w tym i moją. Początkowo chodziłyśmy na sopki /to takie góry/ karczować pnie i nosić do obozu. Nieraz były straszne mrozy i zawieje - a mymusiałyśmy pracować. Potem skierowano nas na budowę, gdzie praca też była ciężka. Woziko się taczki z zaprawą, nosiło kamienie, pusteki, ale najgorzej było kopać doły na fundamenty. Ziemia była zamrznięta, biło się kilofem aż dłonie puchły, a odciski mam do dziś. Ciężkie i mroz niszczyły nasze młode organizmy. Mimo wszystko nie załamalam się. Chodziło mi tylko o to, aby moim kochanym braciom nic nie groziło. Oni mieli rodziny, żony, dzieci. Ja zaś sama - gotowa byłam poddać się całkowitemu zniszczeniu jako ofiara Wschodu. Z drugiej zaś strony cieszyło mnie, że i ja p ołożyłam cegiełkę za założenie fundamentu w odbudowie naszej kochanej Ojczyzny, która wymaga trudów, poświęceń i ofiar.

Wyżywienie w obozie miałyśmy głównie składające się z zupy z liśćmi kapusty, często zgniłej. Kasza była przeważnie owsiana, chleba początkowo dostawałyśmy po 600, a później po 800 gramów. Był jak gline. W baraku mieściło się nas czasem po 200, a czasem po 100 osób różnej narodowości - Łotyszki, Polki, Litwinki, Niemki. Zawsze towarzyszył nam głód. Wyglądałam bardzo źle. Moje przyjaciółki - Jasia Durlik i Edziszewa Paczesińska nazywały mnie "nieboszczykiem". W miarę możliwości starały się mi pomóc. Pamiętam w 1953 roku na Wigilię zrobiły mi ogromną niespodziankę: zostawiły wolny dzień od pracy i zaprosiły do siebie na Wigilię. Przekonały się się opłatkami, życząc sobie doczekania lepszych i szczęśliwszych czasów i powrotu do rodzin, do kraju. Śpiewałyśmy kolędy. Niezmiernie byłam ucieszona tą niespodzianką. Bardzo im jestem wdzięczna. Inne Wigilie spędziłam w szerszym gronie. Pamiętam, kiedyś od rodaków z wolności dostałyśmy paczkę, w której były bułki i dżem. A u nas bywało tak, że obiedową porcję kaszy zostawiało się na wieczerną wigilijną. Nierzadko nie miałyśmy opłatków i dzieliłyśmy się chlebem, składając życzenia i zawsze śpiewając kolędy i tę pieśń, którą cytuję:

O Pani, która jesteś w niebie
wyciągnij sprawiedliwą dłoń
wołamy ze wszech stron do Ciebie
o polski dech, o polski dom
O Panie skrusz ten miecz co siecze kraj
do wolnej Polski nam powróćcie daj
by stał się twierdzą nowej siły
nasz dom, nasz kraj.

Nadeszła wiosna. Dostałyśmy nowe umundurowanie. Ja dostałam stare, dziurawe buty. Jeden był skórzany o rozmiarze 42, drugi brezentowy rozmiar 39 z krzywym tylnikiem. Dostałam także "ciełogrejkę" porwaną. Nie pamiętam dokładnie, który to był rok, w każdym razie była to wiosna, znowu etap, wyczytano mnie i moją koleżankę Irenę Olizar. Poszłam pożegnać się z panią Jasią i Zdzisławą. Obie panie powiedziały:

- Trzymajcie się razem, obie z Ireną.

I tak właśnie było. Zostałyśmy serdecznymi koleżankami. Przywieziono nas na szósty kilometr od Magadanu, tak się to nazywało. S tało kilka pałatek /namiotów/, teren ogrodzony kolczastym drutem i na czterech rogach budki /wyżki/ dla konwojentów, aby mogli na nas patrzeć.

Warunki bytowania z początku były okropne. Niczego tu nie było. Przyszła zima, ściany namiotów całe zaszronione, włosy przymarzały do nich kiedy się spała. Spałyśmy więc w chustach. Po jakimś czasie warunki się poprawiły. Zbudowano łaźnię i kilka baraków. Życie inaczej już wyglądało. Po jakimś czasie znów przywieźli do nas kobiety, a wśród nich nasze rodaczki. Była tam Alina Żulińska, obecnie Kopisto. Dzidka Bizans obecnie Szmigiero. Zosia Bołoczko, Hela Jursa.

Na mnie czekała nowa praca - w kamieniołomach. Pracowałyśmy tam w dwóch brygadach, czyli 50 osób. Przychodził też ktoś wolny, zakładał ładunek wybuchowy w skałę i tym się ją rozrywało, była bardzo twarda. Jeśli skała pękła lub się poruszyła, to wbijało się w nią klin i dużym młotem biło się po tym klinie. W ten sposób rozbijało się na kawałki kamienie. Kiedyś kamień spadł mi na rękę i do dziś jest ona zniekształcona i boli mnie. Kamienie układałyśmy w sztable, ładowałyśmy na samochody.

Do kamieniołomów chodziły pieszo 5 kilometrów tam i z powrotem. Codziennie rano o siódmej był rozwód, czyli zbiórka pod bramą. Ustawialiśmy się po pięć osób w kolumny i tu każda z nas miała być osobno zrewidowana. Tak samo po pracy, też była rewizja. Pracowaliśmy do piątej po południu. Bardzo często sprawdzano nas przed pójściem do pracy z kartotek. Wyglądało to tak, że po wyczytaniu nazwiska trzeba było mówić numer, rok urodzenia, artykuł z którego sądzono i wyrok. Szczególnie zimą ta ceremonia była bardzo uciążliwa, bo trwała długo.

Czy to przed pójściem, czy po powrocie z pracy, słyszałyśmy zawsze od naczelnika konwoju taką formułkę:

- Szah w lewo, szah w prawo. Szcytajetsja pabich, kanwoj prini-majet družynu bez predupreżdzenja, szegom marsz !

Oczywiście w drodze towarzyszyły nam psy i konwojenci, z których wielu było okropnych. Pewnego razu przychodzimy do kamieniołomów, naczelnik konwoju zażądał od brygadzystek spisu brygady, pustawiał kołki za które nie wolno nam wychodzić. Po jakimś czasie wzywa jedną z brygadzystek do siebie i okazuje się, że to jego rodzona siostra. Wywieziono ją do Niemiec, kiedy on odbywał służbę wojskową. Za to wywiezienie dostała wyrok, a jej brata zaraz gdzieś indziej wywieźli. Moją brygadzystą była tu nasza rodaczka, lwowianka, Czesia Szajewska.

Po pewnym czasie naszą brygadę wysłano na budowę dziewięciu magazynów. Praca na budowie była mi już znana, gdyż poprzednio pracowałam przy kopaniu fundamentów. Wreszcie jedna Ukrainka, kierowniczką szewskiej pracowni zaproponowała mi pracę tam pracę. Miała podszywać wołkok, bałam się, że sobie nie dam rady bo nigdy tego nie robiłam. Ona powiedziała, że mnie tego nauczy. I tak się

stało. Tam chociaż było ciepło i sucho, nie stałam już na mrozie. Jestem jej bardzo wdzięczna.

I wreszcie nadeszła śmierć Stalina. Kazano wtedy stać na baczność, a my cieszyliśmy się, że ten, który gnębił naród już nie żyje. W jakiś czas potem w obozie było już lepiej. Zdjęto nam numery, a za pracę już trochę płacono, pojawił w obozie kiosk, w którym można było kupić chleb, dżem, margarynę. Później było tak dobrze, że nawet pokrajany chleb był na stołach i można było wziąć sobie kawałek do baraku. Po pierwszej wypłacie dziewczyny najadły się chleba z margaryną aż się pochorowały. Można też było swobodnie chodzić po terenie, jeśli kto miał ubranie.

Znowu jednak nadszedł dzień, w którym mnie i moje koleżanki wywieziono do kolejnego obozu, też blisko Magadanu. Pracowałam tam w cegielni. Ładowałam glinę. W lecie byłam na powietrzu, a w zimie pod daszkiem. Gлина była zamarznięta i trzeba było rozgrzewać. Postawione tam były blaszane beczki, w których rozpalano drewno i zaraz po całych wykopach rozchodził się dym i gryzł w oczy.

Jeśli chodzi o korespondencję, to mieliśmy prawo wysłać dwa listy w roku. Poczta bardzo źle funkcjonowała. Pamiętam, kiedyś dostałam dwa listy, z których jeden szedł rok, a drugi pół roku, a otrzymałam je jednocześnie. Pewnego dnia przysła do mnie jedna z wolnych już wtedy koleżanek, Dzikka Bizans, obecnie Szmigiero i mówi, że otrzymała od swojej mamy z Warszawy list. Ponieważ pamiętałam adres moich braci, poprosiłam ją, aby wysłała mój list. Jako nadawcę podałam panią Nelę Kozak /obecnie już nieżyjącą i mojego męża, którego wtedy jeszcze nie znałam/ to pozwalało ominąć cenzurę.

Po jakimś czasie otrzymałam list od mojej rodziny wraz ze zdjęciem bratowej, Krysi Dudź, której nie znałam jeszcze. Ile

to było radości i płaczu. Idąc spać list i zdjęcie położyłam pod podgłówek i co chwilę list czytałam, patrzyłam na zdjęcie, płakałam i tak nie spałam całą noc.

W maju zwolniono moją koleżankę, z którą byłam dłuższy czas, Helę Baturzycką, która wybierała się za mąż za kolegę mojego, nie znanego mi wtedy męża. Mieszkali u mojego męża. Jego domek stał blisko cegielni, w której ja pracowałam, a oni postanowili na przyjęcie weselne zaprosić mnie i jeszcze jedną koleżankę, Marysię Regińską. Hela ze swoim mężem Tolkiem Jatkiewiczem, obecnie już nie żyjącym, poszli do naczelnika konwoju prosić, aby nam pozwolił przyjść chociaż na krótko na tę uroczystość. Oczywiście zanieśli mu pół litra. Zgodził się i poszliśmy. Dużo było gości, bo już w tym czasie było dużo wolnych. Atmosfera była bardzo przyjemna. Tam poznałam pana Wacława Kopisto. Poprzednio znałam go tylko z opowiadań tak, jak i mojego męża i wiele innych osób. Niestety, przyszedł po nas naczelnik konwoju i trzeba było pożegnać towarzystwo, podziękować i wracać do obozu.

Później rzucił mnie los razem z moją brygadą na tzw. Nową Wesołą, skąd dowożono nas samochodami do cegielni. Ale nie był to jeszcze kres tułaczki. W 1955 roku, może w połowie lipca zawieziono nas na sianokosy do miejscowości Armań. Były tam dwie brydady, a w nich razem ze mną cztery Polki. Ulokowano nas w okropnej stajni, padał deszcz, woda lała się na głowy, prycze z cienkich okrągłek. Kiedy się leżało, całkiem się rozsuwały. Byłyśmy wprowadzane bez konwoju, za to nie było żadnej możliwości kupienia kawałka chleba. Dokuczał nam głód, dawały się we znaki komary i meszka.

Z tych sianokosów zapamiętałam szczególnie jeden dzień. Kiedy kosząc siano śpiewałam piosenkę, którą wiatr pędził w kołyską tajgę:

Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju
Czy w tajgach Kołymy nam zgnić
Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć

Te słowa bardzo mi pomagały. Na sienokosach byłam do końca sierpnia. I wreszcie miła niespodzianka. Była to niedziela, pamiętam, wracałyśmy z pracy, a każda z nas niosła drewno do kuchni, a tu kucharka mówi: zaczem wam dierewa, Monika, wy już swobodna. Jeszcze Jadzia Kisielewska i jedna Ukrainka.

Okazało się, że Moskwa rozpatrzyła moją sprawę i został wyrok sześć lat, a ja odbyłam prawie siedem.

Boże ! Co za radość być wolną !

Przywieziono nas do Magadanu, gdzie załatwiałam formalności związane z wyjściem na wolność. Zrobiłam zdjęcie do dowodu osobistego, zapłaciłam za nie, a w sumie miałam 5 rubli i nic mi nie zostało. Od czego tu zacząć nowe życie ? Kiedy przyjechałyśmy z Jadzią Kisielewską robić zdjęcia, zaszłyśmy do mojej koleżanki Heli, u której byłam na ślubie. Ona nadal mieszkała z mężem u mojego obecnego męża, który pobudował sobie skromne mieszkanie, a ci którzy wychodzili z obozu tam znajdowali schronienie. Hela usmażyła nam wspeniałą jajecznicę i poczęstowała herbatą i mówi, że już czekają na mnie. Podziękowałam.

Nadszedł dzień 5 września 1955 roku. Opuściłam obozowe druty, udałam się tam, gdzie mieszkała Hela, nie mogłam uwierzyć, że idę sama, bez psów i konwojentów. Jestem wolna! Pomodliłam się Matki Najświętszej, podziękowałam Jej za rozerwanie kajdanów niewoli.

Pytali mnie niektórzy jak to wszystko wytrzymałam, bo przecie sam wyrok - 25 lat, to było coś strasznego. Odpowiadałam, że

jestem wierząca, w dzieciństwie i będąc już dorosłą w każdy piątek miesiąca chodziłam do spowiedzi i komunii świętej, czytałam książkę "Obietnice Pana Jezusa", w której było napisane, że ci, którzy tak postąpią nie zginą bez pojednania się z Panem Bogiem. Byłam więc głęboko przekonana, że prędzej czy później wrócę do kochanej rodziny, do Ojczyzny.

Będąc już wolna, mieszkałam razem z Helą i jej mężem u mojego przyszłego męża, którego w zasadzie mało znałam. Po krótkiej znajomości zdecydowaliśmy się na małżeństwo. W końcu października pobraliśmy się. Ja w tym czasie już urządzałam się w pracy, a tu nagle nowa niespodzianka: wszyscy Polacy, którzy w maju rejestrowali się na wyjazd do Polski, mają wyjechać już 29 października. Na tej liście jest też i mój mąż, ale ja nie, gdyż mnie zwolniono dopiero we wrześniu. Więc nowe zmartwienie, ale mąż powiedział, że mnie nie zostawi, zostaniemy razem.

28 października przyszła pożegnać się zenną Jasia Durlik i mówi, że zachodzą szybkie zmiany i ja też napewno wkrótce wyjadę. Pożegnałyśmy się i Jasia poszła. Wkrótce przychodzi do mnie do pracy kolega męża, Heniek Ławrynowicz i mówi: przynoszę ci dobrą nowinę, szybko pisz podanie o zwolnienie z pracy, bo ty też masz zezwolenie na wyjazd. Boże, co za szczęście, co za radość! Nie ma końca radości.

Szybko przygotowaliśmy się do wyjazdu i 29 października odpłynęliśmy "Feliksem Dzierżyńskim" i tak samo płynęliśmy 9 dni, i tak samo prawie każdy chorował na morską chorobę. Przypłynęliśmy do Ugaluaja i stąd pociągiem do Chabarowska. Byliśmy tu tydzień, bo akurat było święto rusaków /październikowe/, dopiero po tym święcie odjechaliśmy. Kiedy przekroczyliśmy naszą granicę na każdym wagonie powiewała biało-czerwona flaga.

Z Chabarowska przyjechaliśmy do Górnej Żurowicy na punkt i stamtąd jechał każdy w swoją stronę. Ja z mężem, koleżanką Helą i jej mężem przyjechaliśmy do Szczecinka do mojej rodziny. Przyjechaliśmy 6 grudnia 1955 roku. Rodzina mnie na początku nie poznała, a potem serdeczne powitanie, uściski i łzy w oczach, cieszyliśmy się sobą. Moje bratowe była wobec mnie bardzo kochane, serdeczne, Janina Dudź i Krystyna Dudź obie. Janina Dudź już nie żyje. Ich serdeczność na zawsze zostanie mi w pamięci.

Również bracia Józef i Bronisław, który też już nie żyje, witali mnie tak, jak i one. U brata Józefa mieszkaliśmy dłuższy czas. Dzieci brata, starszy syn Francisze, Ryszard i Jerzy mnie polubili i ja ich bardzo pokochałam. Obecnie oni już mają swoje dzieci. Na święta Bożego Narodzenia wzięliśmy ślub kościelny, pierwsze święta w ukochanym gronie rodzinnym, w Ojczyźnie. I tak się zaczęło nowe życie. Jak miło było słyszeć dookoła język ojczyzny, a przykro, że nie wszyscy ~~to doceniali~~ to doceniali, a to dlatego, że nigdy nie stracili Ojczyzny i nigdy nie tęsknili.

W styczniu brat zatrudnił mnie u siebie w biurze w stacji oceny nasion w charakterze laborantki. Pracowałam tam dwie szony. Była to praca bardzo fajna. Potem mąż też dostał pracę i tak nadal mieszkamy w Szczecinku.

Monika Jachiewicz

Wykaz Polaków znanych osobiście
z pobytu w Magadanie i na Czukotce

1. Achremowicz Stefan
2. Ap^onowicz Stanisław
3. Asmuniewicz Tadeusz
4. Augustynowicz Wincenty
5. Baczynski Mieczysław
6. Barbuszewicz Jan
7. Bartoś Alfons
8. Baturzycka -Jatkiewicz Helena
9. Berdowska Janina
10. Biernat Zenon
11. Bisnaz-Szmigiero Jadwiga
12. Borsegof Wienczesław
13. Brzezińska-Swiacka Maria
14. Budrewicz-Cygan Maria
15. Burak
16. Cydzik Zofia
17. Cydzik
18. Cygan
19. Czebotar- Żołnierczyk Leokadia
20. Cwirko Jadwiga
21. Daszkiewicz
22. Drabowicz Helena
23. Dubowicz Jan
24. Dudź-Jachiewicz Monika
25. Durlik Janina
26. Dziedzic Bogusława
27. Engelhardt Bronisław
28. Fikomienko-Wołodźko Irena

29. Giedrowiec Ferdynand
30. Głód Henryka
31. Góra Ludwiłga
32. Górską-Nosowicz Józefa
33. Grabowski Kazimierz
34. Gulbinowicz Władysław
35. Gulbinowicz Bolesław - zmarł w Targu Szaszk w 1956r.
36. Hołoburda Werenika
37. Jacewicz Kazimierz
38. Jachiewicz Stanisław
39. Jakubowicz Józef
40. Jakuto Piotr
41. Jakuto Jadwiga
42. Jankowski Józef
43. Januszevska Maria
44. Jatkiewicz Telesfor
45. Jaworski-Kopisto Wacław
46. Kaczanowska Janina
47. Kałagur
48. Kęzciewicz
49. Kaweckie Stanisław
50. Kiedrys-Laudo Teofila
51. Kisielewska Jadwiga
52. Kisielewski Zygmunt
53. Kiwnik Władysław
54. Kolendro Stanisław
55. xKlonowski
56. Kłak Jan
57. Kołosowska-Kawecka ...

58. Kondratowicz Weronika
59. Krajewska Irena
60. Koreńko Janina
61. Kościukiewicz Helena
62. Kozak-Mackiewicz Aniela
63. Krzywicki Stanisław
64. Kusiak Józef
65. Lach Antoni
66. Łęg Władysław /Wulf/
67. Leuto-Sosnowska Helena
68. Lewszyk Stanisław
69. Lis Janina
70. Łopaciński Jan
71. Łukaszewicz
72. Maciejewska-Dębek Gładira
73. Mackiewicz Andrzej
74. Maksymiuk Władysław
75. Malinowski Benon
76. Malinowski
77. Masarnowski Antoni
78. Mazurkiewicz Jan
79. Merlek-Krzywiec Adela
80. Micheluk Maria
81. Michnowicz-Ławrynowiec Henryk
82. Milan Feliks
83. Nosowicz Józef
84. Nosuto Helena
85. Nowekiewicz Antoni
86. Nowicki Stanisław
87. Nurkiewicz Zdzisław

88. Obolewicz-Augustynowicz Zuzanna
89. Obolewicz Janina
90. Obolewicz Wacław
91. Obuchowicz Władysława
92. Obuchowicz Mieczysław
93. Olizar Irena
94. Orluk-Szpakowska Jadwiga
95. Ostrowski
96. Pawliszyn Stanisław
97. Pilawa Halina
98. Pilzes Bolesław
99. Pocełujko Janina
100. Poczeszyńska Zdzosława
101. Poczeszyński Zygmunt
102. Popławski Adolf
103. Przeplawski Henryk
104. Przewoźniak-Wróblewska Maria
105. Pyszyńska Maria
106. Radomski Bronisław
107. Regińska Maria
108. Regińska Emilia
109. Religioni
110. Romączuk Maria
111. Różycki-Murawinski Janusz
112. Roszko Jan
113. Rudnicki Zbigniew
114. Rzepa-Niecztalenko Bronisława
115. Sauc Marian
116. Sergiej Kazimierz
117. Słowik Zofia

118. Sokołowska Jadwiga
119. Sosnowski Piotr
120. Stański Jan
121. Stefanowicz Edward
122. Stundis Janina
123. Szymunt Józef
124. Szabłowski Aleksander
125. Szajewskie-Jacewicz Czesława
126. Szmigiero Witold
127. Szmuraj Wacław
128. Szumski Jan
129. Szyszko Antoni
130. Swiacka Izabela
131. Swiacki Tadeusz
132. Swikła Leopold
133. Taratuto Wiktor
134. Tkaczuk Janina
135. Turski Cezary
136. xWąsowicz Stanisław
137. Wesołowski Lech
138. Węgier
139. Widejko Władysław
140. Wigierski Mirosław
141. Wojnicka-Szabłowska Janina
142. Wołodzko Mieczysław
143. Gróblewski
144. Wysocki Witold
145. Zajączkowska-Rudnicka Krystyna
146. Zajączkowska-Niedziałkowska Wanda
147. Żulińska-Kopisto Alina